

GÓRS

wr30

ARCHIWUM WSKOCHNIE

Halina Górska

Urodziłam się w czerwcu 1929 r. w Hermaniskach w majątku dziadków. Dziadek już nie żył, babcia zarządzała tym majątkiem. Tam mama mieszkała w jakiś czas po wyjściu za mąż. Potem rodzice przenieśli się do Wilna. Właściwie całe życie spędziłam w Wilnie. Kiedy rozpoczęła się II wojna miałam 10 lat - chodziłam do "Nazaretu" - szkoły sióstr nazaretanek. Początek wojny, jej wybuch dla nas wszystkich był tragedią, dla mnie dziecka był czymś co się opisać nie da. Wydawało mi się, że świat cały skończył się, absolutnie wszystko się zawaliło, zapadło, nie ma Polski, nie ma mojej kochanej szkoły, w ogóle nie warto żyć dalej. Najstraszniejszym chyba momentem nie było bombardowanie Wilna 5 września, kiedy bomby padały koło naszego domu, ale pamiętam dobrze wejście Armii Czerwonej w nocy z 18-tego na 19-ty września 1939 roku. Mieszkaliśmy wtedy na poddaszu domu róg ulicy Stromej i Mickiewicza, niedaleko placu Łukiskiego. Tak się złożyło, rodzice stracili wtedy wszystko, byli bardzo biedni - osobiście nie mieli zatem czego się bać. Wieści o tym, co się działo za wschodnią granicą docierały do nas przez cały czas przed wojną. Wiadomo było, że prześladowania skierowane były przede wszystkim przeciwko tzw. klasom posiadającym, wyzyskiwaczom. Ale mimo to rodzice woleli nie wychodzić z domu, natomiast jako 10-letnie dziecko nie dałam się utrzymać w domu, wyskakiwałam na ulicę, widziałam różne sceny, które mi się wryły w pamięć i do dzisiejszego dnia mogę bardzo żywo je sobie odtworzyć. Widok ulicy, pusta, wyludniona, biegają tylko Żydzi w czerwonych opaskach i roje bojcow /rosyjskiego wtedy nie znałam/ w spiczastych czapkach /z ostrym ogonem na końcu/, które kojarzyłam sobie z jasełkowymi diabłami i urządzone przez nich mityngi. Pamiętam taki na placu Łukiskim - spędzono pod przymusem ludność z okolicznych domów, jakiś polityk stał na podium i coś głośno mówił, wymachiwał rękami i w końcu wzniósł okrzyk - ura! ura!

Odpowiedziała głucha cisza i jakieś parę głosów, które lekko podniosły ten okrzyk.

Zabrakło od razu żywności. Właściciele sklepów skrzętnie pochowali zapasy, a te których nie zdążyli pochować stały się od razu łupem żołnierzy i oficerów rosyjskich. Pamiętam jak wywalali drzwi do sklepu Jabłkowskich przy ul. Mickiewicza, wynosili absolutnie wszystko łącznie z tym co było na wystawach - wojna zaskoczyła właścicieli, nie zdążyli niczego wynieść i schować. W ciągu paru dni miasto było ogołcone ze wszystkiego. Ponieważ my nie mieliśmy zapasów, zaczął nam grozić głód. Gdyby nie pomoc znajomych i przyjaciół byłoby z nami kiepsko. Znajomy ksiądz przynosił nam mąkę, kaszę i chleb. Chyba już w ciągu najbliższych tygodni zaczęły się wywózki, w nocy. Jedną z pierwszych ofiar wśród naszych znajomych był syn profesora Mariana Zdziechowskiego/nieżyjącego już dalekiego krewnego naszej rodziny/ Ksenio Zdziechowski. Niedorozwinięty młody człowiek, chory, potrzebujący stałej opieki psychiatrycznej. NKWD musiało znać adres, bo zabrało go pierwszej czy drugiej nocy po wkroczeniu i wszelki ślad po nim zaginął. Zapłacił za rzekome winy swego ojca. Aresztowano też kilka osób spośród znajomych i rodziny. Inni zaczęli ukrywać się, spędzać noce poza domem, przychodzili m.in. do nas.

Oczywiście o tajnej klauzuli do umowy Ribbentrop-Mołotow nikt nie wiedział. Wieść o podpisaniu umowy litewsko-radzieckiej przyjęliśmy z ulgą. 15 października Wilno zostało oficjalnie przekazane smetonowskiej Litwie. Rosjanie wycofali się. Rozpoczęło się krótkotrwałe panowanie Litwinów. Przejęli oni administrację, wprowadzili jako urzędowy język litewski, nastąpiły masowe redukcje Polaków, pozmieniały napisy, litewski wprowadzono do szkół. Litwiny przywieźli ze sobą od razu swoje spółdzielnie - "Maistary" i "Pienocentnary". Potwierdzili sklepy, w których pojawiły się produkty nie widziane przez nas od kilku tygodni. Pieniądzy mieliśmy bardzo niewiele, ale trochę tych

litów było. Tworzyły się kolejki do sklepów, bo ludność była wygłodzona. Porządku pilnowali policjanci litewscy, przezywani przez nas kałakutasami /kałakutas - po litewsku indyk/, od strojnego mundur. Jak sobie przypominam bardzo życzliwie odnosili się do nas. Na początku nie odczułam wrogości między Litwinami i Polakami, ale moje odczucie może być oczywiście mylne. Dopiero później zaczęły się ekscesy w kościołach, walka o nabożeństwa w języku litewskim /szczególnie w katedrze - sama byłam kiedyś z Mamą, kiedy bojówki litewskie wyganiały z niej Polaków/, zajścia między młodzieżą polską a litewską na Uniwersytecie. Mój bliższy kontakt z Litwinami - to spotkanie z rodziną Korzonów. Znałam dobrze francuski i przez znajomą trafiłam do tej rodziny, która przyjechała z Kowna do Wilna /on był profesorem historii/. Prosił mnie bym z ich dziećmi 5-6 letnim chłopakiem i około 3-letnią dziewczynką rozmawiała po francusku, jako starsza dziewczynka do zabawy i za to coś tam płacili. Ich stosunek do mnie był bardzo życzliwy, przyjazny. Wiedzieli, że jesteśmy w trudnej sytuacji materialnej i jakby użalali się nad nami, dawali mi nieraz dyskretnie do domu paczuszki, pomimo, iż miałam w ich domu całodzienne utrzymanie. Natomiast ich służąca - niania miała bardzo wrogi stosunek do Polaków, wcale go nie ukrywała. Ciągle /mówiła i po polsku też/ wylewała przede mną swoje żale i nienawiść do Polaków za przyłączenie Wilna. Wówczas nie rozumiałam o co chodzi. Wilno polskie, jakim prawem ona ma pretensje, w dodatku nastawiała dzieci szczególnie niechętnie przeciwko mnie, zwłaszcza chłopca, który krzyczał na mnie: "polska ropucho!"

W czerwcu 1940 bolszewicy zajęli Wilno, ponownie zaczęły się prześladowania i wywożenie Polaków. Wywieźli wtedy znaczną część polskiej inteligencji, uciekinierów, którzy tam schronili się z okolicznych miasteczek, wsi, byłych urzędników i in. W tej sytuacji Niemców powitano niemal jak wybawicieli. Ze zrozumiałą satysfakcją oglądałam ucieczkę w popłochu rodzin rosyjskich. Sama widziałam jak naprzeciw naszego domu wyskakiwał przez okno do czekającego samochodu sowiecki

oficer w białych gaciach, bo nie zdążył już włożyć spodni. A my klas-
kaliśmy z radości. Okupacja niemiecka nie była oczywiście niczym ra-
dosnym - następna tragedia, ale zmienił się nastrój, zaczęła się og-
romna aktywność społeczna. W czasie okupacji sowieckiej byliśmy wszys-
cy sparaliżowani strachem i spenetrowani dokładnie, bo przecież przy
tych wywózkach pomagali miejscowi komuniści, przeważnie Żydzi, ^{którzy} (znali
nas dobrze. Teraz natomiast sytuacja pod tym względem zmieniła się -
ani ci Litwini którzy przyjechali z Niemcami, ani Niemcy nie znali
Społeczeństwa polskiego i zdobycie informatorów nie było prostą spra-
wą. Ludzie zaczęli się bardzo szybko organizować. Dla młodzieży utwo-
rzono tajne nauczanie, zostaliśmy wszyscy objęci kompletami. Rwałam
się strasznie do pracy podziemnej, ale byłam za mała. Komplety odby-
wały się przy karbidówkach, bo prąd rzadko włączano. Kierownikiem tej
grupy do której chodziłam była pani Jadwiga Turkowska, bardzo zas-
łużona dla szkolnictwa wileńⁿskiego, była dyrektorka gimnazjum Elizy
Orzeszkowej. Jej mąż Tadeusz był historykiem, brał czynny udział w
konspiracji, a także w tajnym nauczaniu. Mieli dwoje dzieci Danusię
i Jurka. Syn, który w 1943 roku mógł mieć jakieś 16-17 lat, skończył
bardzo tragicznie. Był to okres, kiedy partyzantka zaczęła przystępo-
wać do akcji zbrojnych. Jurek razem z kolegą postanowili przyłączyć
się do AK, ale po zdobyciu broni na własną rękę. Poszli na Górę Bou-
ffałową - miejsce przechadzek, zabaw dzieci, a jednocześnie idąca
ponad miastem ulica, która łączyła dwie dzielnice. Tam upatrzyli sobie
jakiegoś samotnego oficera niemieckiego i postanowili go rozbroić.
Świadkiem tej sceny była moja młodsza siostra, która w tym czasie
bawiła się tam. Szli za nim z tyłu i w pewnym momencie krzyknęli -
hande hoch, mieli coś w ręku, ale ona nie wie czy to był straszak
czy rzeczywiście jakiś puistolet. Niemiec w mgnieniu oka odwrócił się
i strzelił do obu, nim zdążyli cokolwiek zrobić. Kolegę Jurka tylko
zranił w nogę, Jurek dostał śmiertelny strzał gdzieś w okolice ser-

ca i zmarł w szpitalu. Tamten wyzdrowiał i zdołano go jakoś wykupić. Państwo Turkowscy przyjechali później do Polski i osiedlili się w Krakowie. Cały czas jako dzieci ocieraliśmy się o konspirację. Rodzice bezpośrednio nie działali, ale kontakty były stałe. Nocowali u nas rozmaici ludzie. Mieliśmy tylko jeden pokój, ja spałam^m na stole, dzieci /prócz siostry były u nas jeszcze dwie kuzynki-sieroty/ na jednym łóżku, ci panowie /o których nic nie wiedzieliśmy/ na rozstawionych polówkach. Przechowywano u nas jakieś materiały, papiery przynoszone do nas. Byliśmy spokrewnieni z pułkownikiem "Wilkiem"- Krzyżanowskim, ponieważ moja ciocia wyszła za mąż za Ryszarda Knobelsdorffa - siostrzeńca Krzyżanowskiego. Jego siostra Jadwiga Pleskaczewska często do nas przychodziła, zostawiała różne polecenia: proszę przenocować, przechować itd. Czasy były trudne, ojciec handlował, ja mu pomagałam, a także pracowałam fizycznie kopiąc kartofle na wsi, ale mimo wszystko wspominam ten okres jako jedyny w czasie wojny, kiedy Wilno było autentycznie miastem polskim, ulica była całkowicie polska, nie słyszało się innej mowy niż polską. Czasami maszerowało wojsko niemieckie, szły transporty na wschód, szpitale były przepełnione rannymi żołnierzami im bliżej był front było więcej rannych żołnierzy i inwalidów niemieckich. Ale to było obce, nie nasze. Dla nas było ważne tylko to co się działo z naszym społeczeństwem, które było ogromnie zżyte, bardzo pomagające sobie, pozbawione lęku, strachu. Nie kryliśmy się z tym co kto robi, oczywiście bez szczegółów, gdzie pracuje. W konspiracji zaangażowani byli wszyscy prawie przede wszystkim inteligencja polska.

Przyszedł ten straszny dzień - 7 lipca 1944 r. Rozeszła się pogłoska, że miasto ma być spalone a cała ludność wybita. Niemcy pod karabinami wypędzali wszystkich z domów, nie wolno było niczego zabierać. Na ulicach trwała walka, bzykały kule, wybuchały pociski. To oddział polskich partyzantów AK rozpoczął powstanie. Nas z okolicy Śródmieścia spędzono wszystkich do jednego gmachu, dawnej

Ubezpieczalni Społecznej na ul. Mickiewicza - jednego z najwyższych w Wilnie budynków 4-5 piętrowego. Tam przez wybitą szybę wskakiwaliśmy do środka i tam przetrzymali nas Niemcy przez te całe 7 dni, podczas których trwała walka o Wilno. Polacy bardzo szybko zorganizowali się, Niemców nasze życie wewnętrzne nie obchodziło - zdychajcie, umierajcie sobie, róbcie co chcecie. Mieliśmy samoobronę, pomoc medyczną /okazało się, że jest sporo lekarzy, niektórzy mieli jakieś lekarstwa/, wewnętrzną straż porządkową. Rodzicom z dziećmi dano lepsze miejsca, spaliliśmy na posłaniach z papierów. Żywność była rozdzielana wspólnie, wydziałano wodę, żeby szczególnie dzieci mogły to przetrwać. Pilnowało nas kilku Niemców, reszta ich stała nadachu dla obrony przeciwlotniczej. Byli do nas nawet dosyć życzliwie ustosunkowani i jeden z nich zdradził, że cały gmach jest podminowany i że nas i siebie mają przed zajęciem miasta przez bolszewików wysadzić w powietrze. Dziwnym zrządzeniem Opatrzności, na dzień przed zajęciem gmachu przez bolszewików, komendant pilnującego nas oddziału został zastrzelony, a reszta załogi postanowiła tego rozkazu nie wykonywać.

Bolszewicy zajęli gmach 14 lipca, żołnierze niemieccy poddali się bez wystrzału i uratowali nas w ten sposób przed śmiercią.

Wracaliśmy do domu przez zgliszcza i ruiny, miasto było zniszczone, m. in. został też zbombardowany nasz dom. Przyjęli nas do siebie znajomi - państwo Pelczarowie, a później przyznano nam mieszkanie w jakimś opustoszałym domu na Starówce na Zaułku Świętomichalskim, który później został nazwany Biluno /była to jedna z najstarszych części Wilna/. Mieszkanie było obszerne 6-pokojowe, nam przydzielono 2 pokoje, w pozostałych zamieszkali enkawudziści - oficer NKWD Chomienko i jego szofer Chmielnicki. Takie "sympatyczne" mieliśmy sąsiedztwo. Byli uprzedzająco grzeczni, ale w nocy urządzali straszliwe pijatyki, sprowadzali te swoje żołnierki i potem za każdym razem rano przepraszali. To nie szkodziło, by

następnej nocy działo się to samo. Po jakimś czasie zabawy te skończyły się, bo sprowadzili rodziny. Przed sprowadzeniem rodzin błagali mamę, jeden i drugi, żeby żonom nie powiedzieć co tu się działo. Ale dosyć dobrze i przyjaźnie układały się nasze stosunki. Oficer Chomienko później się wyprowadził, na jego miejsce wprowadziła się inna rodzina, szofer został. Mieli dwoje dzieci, mama te dzieci b. lubiła, ciągle bawiły się w naszym mieszkaniu, gdy ich rodzice wychodzili do pracy. Mama opiekowała się wszystkimi - była to rzeczywiście międzynarodówka - litewskie, żydowskie, rosyjskie i polskie dzieci razem bawiły się pod jednym okiem mojej mamy. Trochę się uczyły po polsku, bo mama mówiła do nich w swoim języku.

Te pierwsze dni znowu były jak grom z jasnego nieba. Wierzyliśmy, że Wilno będzie znów polskie, że wkroczy do niego wojsko polskie, że będzie jak kiedyś. Tymczasem weszło wojsko rosyjskie, zdecydowanie wrogo nastawiono do miejscowej ludności polskiej, szczególnie do polskich partyzantów, do AK-owców. Zaczęło się wyłapywanie AK-owców wszędzie, na ulicach, po mieszkaniach. Szybko buchnęła wieść o aresztowaniu "Wilka", całego dowództwa, o okrążeniu oddziałów i eksportowaniu ich do Miednik a później na wschód, o przedzieraniu się niektórych do Polski. Wszystko to było bardzo boleśnie odczuwane i przeżywane przez społeczność polską pozostałą w Wilnie. Znowu zawisła nad nami zgroza wywózek na Wschód. W tych warunkach trudno się dziwić, że ludzie, choć tak związani z Wilnem godzili się na repatriację. Zaczęła się repatriacja, w 1945 roku miasto zaczęło się wyludniać. Na miejsce Polaków przyjeżdżają Rosjanie, gromadnie jakby taka pokojowa nawałnica, nie wojsko, ale ludność cywilna nie Litwini nawet, tylko Rosjanie. Potem dopiero, stopniowo, jakby niesmiało przyjeżdżają Litwini, którzy początkowo czują się bardzo nieswojo. Większość z nich współpracowała z Niemcami, nastawiona była wrogo do nowej władzy, chociaż na pewno przywrócenie Wilna jako stolicy Litwy - republiki radzieckiej

uważali za decyzję słuszną. Był to sukces problematyczny. Sami oddali to w takich słowach - Vilnius musy, o mes Rusu /Wilno nasze - ale my za to należymy do Rosjan/.

W tych pierwszych latach Wilno nosiło charakter bardziej rosyjski niż litewski - z całą tą nędzą, biurokracją, sprzedajnością, żywiol polski zaczął opuszczać miasto, Wilno stawało się przerażająco rosyjskim miastem, z wszystkimi negatywami jakie przynosiła ta władza ze sobą. Zaczęły przyjeżdżać tabuny wygłodzonych dzieci z domów dziecka, "bezprizorników", podróżujących na własną rękę. Maleńkie potworne karzełki, dzieci 7-12 letnie o twarzach starców, pomarszczonych, z niedopałkami papierosów w zębach. To była zgroza wielka, bo oni w pojedynkę nie stanowili groźby, ale gdy jeździli takimi tabunami, to byli groźni, bo napadali, nawet w biały dzień, na pojedynczych ludzi. Jednocześnie widowisko to straszliwie rozpaczliwe, bo były to dzieci wygłodzone, zupełnie dzikie. Jeden z takich objawów rzeczywistości.

W Wilnie od razu głód, kolejki, wystawanie od 2-3 w nocy w kolejce po kawałek chleba na kartkę, brak absolutnie wszystkiego, a jednocześnie jakies powolne przystosowywanie się do nowej sytuacji.

Zaczęłam pracować, miałam małą maturę zrobioną na kompletach, jeszcze przez pierwszy rok chodziłam na lekcje prowadzone dalej przez panią Turkowską, profesora Konrada Górskiego, ale gdy oni wyjechali do Polski, wszelkie takie inicjatywy zamarły. I wtedy ta resztką Wilnian, /a do nich należeli i moi rodzice, którzy postanowili pozostać, ponieważ nie wierzyli, że ta sytuacja może potrwać długo, a rozstanie z miastem wydawało się im tak straszną tragedią, że nie mogli się na ten krok zdobyć/ zaczęła skupiać się, jak to zwykle bywa, przy kościołach. Część księży wyjechała, m.in. jezuici, klasztory - dano im wolny wybór, była to ich decyzja własna. Ale sporo księży pozostało, nikogo nie zmuszano. Ci ludzie stali się takimi jakby ośrodkami życia społeczno-kulturalno-reli-

gijnego. Instynktownie młodzież, garstka inteligencji, ludności polskiej zaczęła się skupiać wokół nich. Naszym kościołem parafialnym był wówczas kościół pobernardyński /obok słynnego gotyckiego kościoła św. Anny/. Tam zapisałam się do chóru, który zorganizował profesor Żebrowski, tam też wstąpiłam do Sodalicji. Była to jedyna forma działalności kulturalno-religijnej, choć nie tylko do religijnej się ograniczała. Robiliśmy wspólne wieczorki - sale przykościelne były do naszej dyspozycji, spotykaliśmy się i poza tym w dniu powszednie. Recytowaliśmy wtedy poezję, urządzaliśmy wieczory mickiewiczowskie, Słowackiego, były także spotkania z księdzem, czytanie książek i tekstów religijnych. Unikaliśmy tematyki politycznej, ksiądz celowo chyba nie chciał tego wprowadzać, ale na co dzień przecież każdy żył tym co się działo. Skończyła się repatriacja, zaczęli powracać z obozów zwalniani szeregowi żołnierze AK, początkowo w pojedynkę, później do końca 1948 roku zwolniono wszystkich z Kaługi. Otworzono gimnazjum polskie, do którego zaczęłam chodzić. Uczyłam się zaocznie by zdać maturę, pracując tam jako sekretarka. Do tego gimnazjum spłynęła młodzież ze wszystkich podwileńskich okolic, dzieci tych rodziców, którzy postanowili pozostać na swoich gospodarstwach. Tworzyliśmy dość zwarte środowisko. Najpierw gimnazjum to było na ulicy Ostrobramskiej. Pierwszą dyrektorką była pani Kazimiera Likszanka, ale oczywiście przedwojenna polska nauczycielka nie mogła być długo dyrektorką, tak że przysłano nam później z Moskwy inną - Kurylenko. Mówiła ona łamaną polszczyzną, podobno pochodziła z polskiej rodziny, wyszła za mąż za Rosjanina. Później gimnazjum przeniesiono do nowego gmachu na Antokolskiej i tam istnieje do dzisiaj jako V Gimnazjum Polskie.

W 1949 roku w tym gimnazjum zdałam maturę i na jesieni wstąpiłam na Uniwersytet, na anglistykę. Nie był to przedmiot, o którym marzyłam, ale nie miałam innego wyboru. Chciałam iść na historię,

ale przyjmowano tylko członków Komsomołu, a zresztą historia w wydaniu radzieckim niewiele by mi dała. Miałam zainteresowania raczej humanistyczne stąd ten wybór. Byłam zaskoczona przyjaznym przyjęciem komisji egzaminacyjnej, która składała się z Litwinów i Rosjan, ale wychowanków Uniwersytetu Stefana Batorego, m.in. dziekan Wydziału Humanistycznego pan Frołow, który nie wiem czy był komunistą, przypuszczam, że tak gdyż inaczej nie zostałby dziekanem, a nawet w Wilnie, może dlatego miał szczególny sentyment do Polaków. Ale równie przyjaźnie byli nastawieni Litwini. Egzaminowali po polsku, mimo że była przygotowana, że będę zdawała po rosyjsku. Zostałam przyjęta i byłam jedyną Polką w grupie,

w której nadto była jedna Rosjanka i jedna Żydówka, a resztę około trzydziestoosobowego zespołu na I roku stanowili Litwini.

Stosunek do mnie mieli bardzo przyjazny, może dlatego, że Litwini czuli się wówczas bardziej zagrożeni przez Rosjan niż przez Polaków. W każdym razie ta młodzież z różnych miast, nie z Wilna, bo w Wilnie Litwinów nie było, szukała kontaktów ze mną. Oni pierwsi zaczęli, ja nie bardzo mogłam, bo nie znałam litewskiego. Stopniowo zaczęła się między nami zadzierzgać jakaś bardzo serdeczna więź. Rozmawialiśmy coraz szczerzej, zapraszali mnie na zabawy studenckie, potem do domu, nabieraliśmy do siebie coraz większego zaufania, rozpoczynaliśmy rozmowy na tematy zakazane - polityczne. Te rozmowy były dosyć szczerze i w miarę obiektywne z ich strony. Oni chyba lepiej wtedy znali historię ode mnie. Ja jakbym się zatrzymała na historii Wilna tylko, bo tą historią zajmowałam się dosyć dogłębnie ponieważ wtedy prowadziłam różne prelekcje wśród młodzieży polskiej na temat miasta własnego, jego przeszłości, literatury - głównie związanej z Wilnem - Mickiewicz, Słowacki, filomaci, filareci... Oni natomiast patrzyli jakby z perspektywy bardziej ogólnej, historycznej, księstwa litewskiego i Polski, unii. Dyskutowaliśmy uwarunkowania, czy to było korzystne czy nie, wiemy jak historiografia litewska to przedstawia.

Tak czy owak wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że nasze interesy są wspólne, że naszym wrogiem jest Związek Radziecki i że powinniśmy w związku z tym trzymać się razem. Przypuszczam, że oni wszyscy byli w jakichś tajnych organizacjach studenckich. Może doszłoby do tego, że wciągnęliby i mnie do tych organizacji, ale przerwało to moje aresztowanie. Nastąpiło ono 18 marca 1950 roku. Byłam wtedy na drugim roku anglistyki. Zastukali jak zwykle w nocy: "Prowierka dokumentów". Nie domyślaliśmy się, /choć powinniśmy/, że chodzi o aresztowanie. Przyszło ich trzech - poprosili naszą sąsiadkę Chmielnicką, o której wspominałam, na świadka, bowiem bardzo przestrzegali formalności. Przyszła przerażona, co się dzieje, dlaczego nagle rewizja. Kazali mi się ubrać i nie wyszli z pokoju, mimo, że ich prosiłam. Kiedy ubierałam się, jeden z nich nachylił Pokazał dokument, którego nie przeczytałam, było raczej ciemno. się i powiedział szeptem - wy aresztowany. Powiedziałam, że to chyba jakaś pomyłka. - Wszystko wyjaśnimy, musicie z nami jechać.- Zabrali mnie, wsadzili do opancerzonego samochodu i przywieźli ~~na~~ przy ul. Ofiarnej do więzienia śledczego. Jechałam spokojna, pewna, że się wszystko wyjaśni i wypuszczą mnie, przecież nic nie zrobiłam. Sodalicja została rozwiązana przez naszego moderatora jeszcze w 1948 roku, kiedy to wezwano go i powiedziano, że bez pozwolenia władz żadnych takich przykościelnych organizacji nie można prowadzić. On się z tym zgodził, przyjął to do wiadomości i nas rozwiązał. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, z okazji świąt kościelnych, rekolekcji, ale jako grupa prywatna. To co ja robiłam nie mogło być uznane za działanie nielegalne czy zakazane, bo zbieraliśmy się - grupa młodzieży studenckiej, częściowo szkolnej i już nie uczącej się i byłych partyzantów, którzy pozostali w Wilnie, pozakładali rodziny - właściwie towarzysko. Ażeby nie były to puste spotkania, to każde łączyło się z jakimś tematem z historii Polski /tego nie mieliśmy w szkole/ z filozofii, z historii powszechnej. Moją specjalnością była historia Wilna i historia

Polski, bardzo starannie przygotowywałam się do tych prelekcji. Prowadziłam zeszyt z notatkami do nich. To było wszystko i nie znając całej rzeczywistości jeszcze nie uważałam tego za coś zabronionego czy szczególnie groźnego. Chociaż profesor Żebrowski próbował kiedyś mnie ostrzec, ale robił to w sposób tak mętny, że nie wiedziałam o co mu chodzi. Później wyjaśniło się, że gdy wzywano go na przesłuchania, wypytywano go o mnie. Domyslał się, że jestem na liście przeznaczonych do aresztowania /było to kilka miesięcy wcześniej/. To by niczego nie uratowało.

Od razu, po przywiezieniu, zaprowadzono mnie do wielkiej sali przed, jak to nazwałam w myślach, areopag. Za stołem siedziało kilkunastu oficerów NKWD, jeden z nich bardzo strojnie ubrany, w epoletach, ponieważ zwracano się do niego per "towaryszcz gienierał" wiedziała^m, że to pan generał. Ten trybunał to było wstępne przesłuchanie, a właściwie badanie, chcieli się zorientować z kim mają do czynienia, jakie będą moje reakcje. Spytano czy wiem dlaczego się tutaj znalazłam, dlaczego mnie aresztowano. Powiedziałam, że nie wiem i mam nadzieję, że to pomyłka. - My nigdy nie oszibajemśia Gala - powiedział generał. My znam pro Was wsio, Wiemy o was wszystko, wiemy że wy amierikanski szpion. Pomimo całej grozy sytuacji roześmiałam się. Oni wszyscy z kamiennymi twarzami przeczekali spokojnie. Mówię więc jeszcze raz, że nie jestem oczywiście amerykańskim szpiegiem. Taki zarzut jest po prostu śmieszny. Jeśli tylko tyle mają mi do zarzucenia to znaczy, że się bardzo mylą. - A wy nie bez powodu wstąpiliście na anglistykę. My wiemy dlaczego wybraliście taką specjalność. Dobrze przygotowaliście się do swojej roli. ~~PPPP~~ Potem, że siłą chciałam obalić system, buntowałam swoje otoczenie przeciwko władzy radzieckiej, żądałam przyłączenia Wilna do Polski - to były pierwsze zarzuty. Przesłuchanie nie trwało długo, potem zaprowadzono mnie do małej salki, gdzie dwie enkawudzistki rozebrały mnie do naga,

obszukały, odebrały wszystkie spinki, szpilki, guziki. Szłam podtrzymując opadające pończochy, spódnicę, długie włosy rozsypały się. Zamknęli mnie w takiej izolatce - szafie, gdzie mogłam tylko stać i tam przetrzymali mnie do rana. Po tej "przejsściówce" zaprowadzono mnie do celi w lochach poprzez ciemne korytarze przedzielone żelaznymi przegrodami, przy każdej stał strażnik. Wszystko odbywało się w głuchym milczeniu, żadnych rozmów. Prowadzący pokazywał tylko papier, strażnik mu otwiera, idziemy dalej tak samo. W końcu wepchnął mnie do jakiejś celi, aż upadłam. Tu po raz pierwszy rozpłakałam się strasznie. W celi był smród niesamowity, siedziało w niej 7 dziewczyn starszych ode mnie - wszystkie Litwinki. Jak mogły zaczęły mnie pocieszać, wtajemniczać jaki tu jest regulamin, co wolno, a co nie wolno. Zaczęły mnie wypytywać, od razu powiedziały, że jestem Polka. Były serdeczne, jak dobre kochane siostry. Wszystkie przeszły już przez kilka więzień, były spod Wilna, Kowna, ze wsi. Dwie wśród nich to studentki. Od nich dowiedziałam się, że na Litwie jest jeszcze partyzantka, która czynnie walczy. Te dziewczyny to były siostry, żony, narzeczone partyzantów litewskich, które pozostały na wsi w swoich gospodarstwach. Aresztowano je by wydobyć zeznania, gdzie przebywają ich najbliżsi. Te dziewczyny były najbiedniejsze, ponieważ stosowano wobec nich tortury i to straszne, wymyślne bardzo. Wspomnę tylko o jednej. Była to niemłoda już kobieta. Tenże sam Akkuratow, który mnie przesłuchiwał był również jej śledczym, Żyd zresztą z pochodzenia. Te sądy mieściły się w przedwojennych budynkach, w których niektóre sale były bardzo wysokie. Akkuratow wykorzystywał to: stawiał krzesło na krześle, krzesło na krześle ... aż do sufitu, przystawiano do tej piramidy drabinę i kazano jej wchodzić na samą górę, potem on jednym kopnięciem burzył to wszystko i ona spadała razem z krzesłami, w dół. Za pierwszym razem tylko potłukła się, za drugim straciła przytomność. Przyniesiono ją do nas z połamaną nogą, straszliwie potłuczoną

i posinaczoną, całą czarną. Za każdym razem śledczy mówił jej, że wyduszą z niej, gdzie jest jej mąż /czy syn/. Jak tę torturę wytrzyma, zastosują następną. Nie wiem jaki był dalszy los tej kobiety, co ją dalej spotkało.

Mnie przez pierwsze parę dni zostawiono w spokoju. Potem zaczęło się śledztwo. Przesłuchania odbywały się w nocy, mniej więcej godzinę, półtorej po odboju /porze, kiedy kazano nam iść spać/. Spałyśmy na podłodze, na siennikach. Ledwo człowiek przyłożył głowę do siennika, zjawiał się strażnik i groźnym szeptem wywoływał przez okienko w drzwiach - na bukwu B, na bukwu K, na bukwu G... Przesłuchania trwały przeważnie do rana, czasami na pół, czasami na godzinę przed podjodem/pobudką/ puszczano do celi. Człowiek padał na siennik i już podjom. Znowu się wstawało. W dzień nie wolno było, ani na chwilę zmrużyć oka, ani przysiąść na chwilę. Gdy tylko strażnik zauważył, że ktoś na stojąco lub siedząco zasypiał, natychmiast wpadał do celi z krzykiem, albo brał do karceru.

Była to też swojego rodzaju tortura, bo gdy śledztwo trwało bez przerwy tydzień, dwa, cztery tygodnie, a moje trwało 4,5 miesiąca, z bardzo krótkimi przerwami, to człowiek był nieprzytomny. Ja nie pamiętałam po prostu niektórych przesłuchań w ogóle.

Na przesłuchaniach trzeba było cały czas siedzieć na stołku, bez oparcia, nie można było wstać na chwilę, czasami kazano stać co też było męczące. Puszczano ten snop światła reflektorów, było i gorąco i to oślepiające światło.

Na początku chodziło im o to, bym przyznała się do tych najcięższych przewinień. Wszystko to odrzuciłam. A potem śledztwo skoncentrowało się na faktach. Na tym co ja robiłam w Sodalicji i w tych naszych grupkach. Kto to wszystko organizował i kto był odpowiedzialny. Jedno mogę powiedzieć, z sercem czystym, że zupełnie nikogo nie oskarżyłam. Sama do swoich win przyznałam się. W końcu stwierdziłam, że nie ma co się upierać. Tak, nie znoszę waszego systemu, gdybym mogła może bym go obaliła, może nie siłą...

To jest nieludzki system, on i tak upadnie kiedyś. Całą winę wzięłam na siebie. Było to trochę zgodne z prawdą, jeżeli nie jedyną, to byłam jedną z głównych organizatorek tego wszystkiego. Tak, że na szczęście nikogo po mnie nie aresztowano - natomiast łącznie ze mną aresztowano wówczas kilkanaście osób z obydwu grup, to znaczy z byłej Sodalicii i wśród polskiej młodzieży i to zarówno akademickiej jak i szkolnej. Aresztowano księdza Kamila - franciszkanina /Władysław Wielomański/ naszego sodalicyjnego moderatora. Aresztowano dwie panie, które stały na czele Sodalicii: Wierę Berkowską i Bronisławę /nazwiska nie pamiętam/. To wszystkie osoby z tego kręgu. Pozostałych przesłuchiowano ale nie aresztowano. Aresztowano mojego kolegę, był z tego samego rocznika, z tej samej klasy maturalnej. Po maturze wyjechał na studia politechniczne do Leningradu i tam go aresztowano.

Głównym sędzią śledczym był wspomniany Akkuratow, postrach wszystkich więźniów. Ale miał do pomocy jeszcze sześciu innych oficerów NKWD. Czasem przesłuchiwali mnie wszyscy ~~razem~~ naraz, zasypując gradem krzyżujących się pytań, czasem zmieniali się co godzinę, co pół. Zorientowałam się wkrótce, że mieli rozdzielone między siebie zadania. Jeden był od straszenia i pogróżek, z wyglądu Azjata. Drugi to był "intelektualista", który prowadził ze mną długie rozmowy na tematy światopoglądowe, które przeważnie ograniczały się do ataków na Kościół i personalnie na ojca Kamila oraz stwierdzenia, że Boga niet. Byłam jeszcze na tyle naiwna, że dawałam się wciągać w te bezsensowne dyskusje, namiętnie broniąc swego punktu widzenia i swej wiary. Jeżeli oficer śledczy był w dobrym humorze dyskusję ucinał, jeżeli w ~~zły~~ złym - wzywał tego "srogiego", który zaczynał wówczas od krzyku i rozmaitych przezwisk. Trzeci wreszcie grał rolę dobrego, życzliwego przyjaciela, który pragnie mi

pomóc. To od niego właśnie dowiedziałam się pewnej nocy o rzeko-
 mych nieszczęściach jakie spadły na moją rodzinę. Ze smutną, za-
 troskaną twarzą opowiadał, jak to z czystej sympatii odwiedził
 nasz dom. - Widzisz Galu, coś ty narobiła najlepszego, taką tra-
 gedię sprowadziłaś na rodzinę. Twoja matka tego napięcia nie wy-
 trzymała i zwariowała po twoim aresztowaniu, jest w tej chwili
 w szpitalu na Letniej, ojciec załamał się całkowicie, leży spara-
 liżowany, siostra musiała rzucić szkołę, poszła do pracy. Ja tam
 chodzę, bo mi jest b. żal. Nie myśl, że jak jestem enkawudzistą,
 to nie mam serca. Opowiadał to wszystko z takim przejęciem, że
 uwierzyłam mu. Teraz bym nie uwierzyła. Oczywiście to nie zaważyło
 na moim postępowaniu, ale byłam załamana strasznie. Gdybym nie
 była człowiekiem tak głęboko religijnym, to załamałabym się cał-
 kowicie. Ratowała mnie wiara. Nastąpiły dla mnie ciężkie dni.

Śledztwo, nocne przes-
 łuchania - wszystko to stało się nieważne. Boże, błagam, niech się
 ze mną stanie co chcesz, tylko moich najbliższych oszczędź. Aż które-
 goś dnia, po dłuższej przerwie, przychodzi z domu paczka żywności-
 wa i choć strażnik spisu rzeczy nigdy do rąk nie wręczał, to przecież
 zdążyłam zauważyć, że był on pisany tak charakterystycznym pismem
 mamusi. A więc jest w domu i cała opowieść o jej rzekomej chorobie
 był perfidnym wymysłem. Nie omieszkałam tego powiedzieć na najbli-
 szym przesłuchaniu. Nagle jakby opuścił mnie wszelki strach. Nie
 tylko wypaliłam co myślę o metodach NKWD i całym w ogóle systemie,
 ale w najwyższym oburzeniu, gdy Akkuratow zaczął na mnie wrzeszczeć
 chwyciłam ze stołu kałamarz i cisnęłam w niego. Nie trafiłam, atra-
 ment rozbryznął się na ścianie i podłodze. Natychmiast wbiegło do
 pokoju dwóch strażników i wyprowadziło mnie, ale nie do celi, a do
 karceru. Musiałam rozebrać się do bielizny. Zamknięto mnie w ciemnej
 zimnej piwnicy, gdzie stała tylko goła prycza z desek. Tam przesiedzia-
 łam siedem dni, dostając trzy razy dziennie jedynie po kubku gorącej-
 wody za całą strawę. Byłam młoda, zdrowa, wysportowana. Cały czas
 skakałam, gimnastykowałam się, żeby nie zmarznąć na kość. Często
 śpiewałam sobie mimo protestów strażników. Byłam, o dziwo, szczęśliwa,
 że mama zdrowa, że rozkłóciłam Akkuratowa, że ich nakryłam na bez-
 czelnym kłamstwie. Nie wiem, jak to się działo, że mnie nie bito.

Pewno był taki rozkaz od kogoś z góry, bo jednak przy całym bestialstwie i okrucieństwie wykonawców oni bali się robić cokolwiek na własną rękę. W każdym razie po powrocie z karceru nie "zmiękłam", na co pewno liczył mój sędzia śledczy, lecz na odwrót - zhardziałam. Widziałam nieraz, że moja postawa nie tylko złościła co bawiła moich prześladowców. Kiedyś np. s^ędzia śledczy zaczął roztaczać przede mną obraz mego przyszłego losu: z nauką koniec, rodziny nigdy już więcej nie zobaczę, będę pracować ciężko w łagrach, a po tym zostanę zesłana tam gdzie mieszkają białe niedźwiedzie, do końca życia. A ja mu na to: pana straszenie nie robi na mnie żadnego wrażenia. Ja w tych łagrach i tak nie będę długo siedziała, bo to wszystko, cały ten nieludzki i absurdalny system niedługo załamie się i wierzę głęboko, że doczekam się tego. Kiedy po amnestii w 56 roku wróciłam do Wilna, nie darowałam. Poszłam do gmachu na Ofiarnej i odnalazłam Akkuratowa. Był zdegradowany, bez pułkownikowskich szlifów, spokorniały. Poznał mnie od razu, niby się nawet ucieszył z mego powrotu. Przypomniałam mu naszą rozmowę. -Tak, pamiętam, pamiętam, ale kto togiada mog przewidiet' czto tak wsio izmienitsia /Kto wtedy mógł przewidzieć, że tak się wszystko zmieni/.

Wszystkie wyroki były wydawane zaocznie w Moskwie przez Osoboje Sowieszczanije / w skrócie OSO/, jakieś tajemnicze ciało, o którym nic nie było wiadomo, ani kto tam zasiada, ani jak wygląda procedura. Musiała być jednak bardzo prosta skoro istniały w zasadzie dwa wymiary kary: 10 lat łagrów dla kobiet i 25 lat dla mężczyzn plus zsyłka do końca życia na dalekie krańce imperium. Tyle też i my dostaliśmy. Dopiero po powrocie dowiedziałam się, komu zawdzięczamy swój los, którego mogliśmy uniknąć. W naszej grupie towarzysko-samokształceniowej znalazł się chłopak, wówczas uczeń klasy przedmaturalnej polskiego gimnazjum, bardzo zresztą zdolny i ambitny, który zgodził się pełnić rolę agenta, a jak niektórzy

twierdzą sam zaofiarował swe usługi NKWD. Czerpał z tego bardzo wymierne korzyści; niemal natychmiast po naszym aresztowaniu z sutereny przeniósł się do pięknego nowoczesnego mieszkania, otrzymał samochód do swej dyspozycji i... fortepian, na którym tak bardzo mu zależało. Dotychczas bowiem przychodził codziennie do nas by ćwiczyć na starym pianinie. Dodam może jeszcze, że był traktowany jak członek rodziny i nie mieliśmy przed nim żadnych tajemnic. Oczywiście wszystkie zebrań i koncerty nie mogły się obyć bez niego, choćby dlatego, że już wówczas biegle grał na fortepianie, a poza tym miał mnóstwo ciekawych pomysłów. Dowody jego winy były tak bezapelacyjne, że kiedy po zwolnieniu z obozu jego koledzy uprowadzili go za miasto by dać mu tam porządną "kocówkę", nawet się nie wypierał. Przede mną natomiast uciekał. Raz przypadkowo spotkaliśmy się na ulicy, oczywiście już po moim powrocie do Wilna, spostrzegł mnie w ostatnim momencie, bez słowa zawrócił na pięcie i pędem zaczął biec w przeciwną stronę jakby go goniło sto biesów, a ja stałam jak wryta i bez słowa patrzyłam za nim. Cóż, marzyła mu się wielka światowa kariera, wmówił sobie że wolno mu jako "wielkiemu" człowiekowi dążyć do niej po trupach /takich argumentów używał wobec mojej siostry, która odbyła z nim kiedyś szczerą rozmowę jeszcze podczas naszego pobytu w więzieniu, kiedy to jednemu z chłopaków udało się przesłać gryps do matki informujący kto nas wydał/.

Siedząc w celi więziennej na Ofiarnej z Litwinkami szybko nauczyła się litewskiego i to na tyle, że mogłam im opowiadać treść polskich powieści i filmów. W ciągu dnia w celi nie wolno było spać, prycze składało się pod ścianą. Robiło się troszkę wolnego miejsca i na tej niewielkiej przestrzeni maszerowałyśmy w kółko odnawiając na przykład różaniec. To był pierwszy punkt dziennego programu. Po nim następowały "rozrywki kulturalne": cichutkie śpiewy, tak, żeby nie usłyszeli ich strażnicy i opowieści z własnego życia, gdy te się wyczerpały - z literatury. I tak przypomniałyśmy sobie całą trylogię Sienkiewicza, powieści Orzeszkowej, Rodziewiczówny. Litwinki płakały rzewnymi łzami nad losem Heleny, Longina Podbipięty, śmiercią Wołodyjowskiego. Ciągłe prosiły: jeszcze coś nam opowiedz, Galinutę, jeszcze. Czasami tak utożsamiałyśmy się z losami bohaterów - do tego stopnia - że zapominałyśmy, gdzie jesteśmy, co nas czeka za chwilę. To było potrzebne i bardzo pomagało.

Po zakończeniu śledztwa sędzia śledczy powiedział - ostatni raz się widzimy - a ja sława Bohu. Nie zmartwił się tym za bardzo, ani ja. Odczytał wyrok - 10 lat łagrów, pozbawienie praw obywatelskich na lat 15 i zsyłka do końca życia - co oznaczało, że nigdy nie będę miała prawa wrócić do Wilna czy innego miasta w centralnej Rosji. Po zakończeniu wyroku wyznaczano bowiem miejsce zsyłki. - Powiedziałam: za co? Odpowiedział - nie za to co zrobiłaś, bo zrobiłaś jeszcze niewiele, ale za to co mogłaś zrobić.

Potem przewieziono mnie do więzienia na Łukiszkach, gdzie więźniowie czekali na wywózkę w głąb Rosji - na etap w języku więziennym. Na Łukiszkach warunki były znacznie lepsze, duża przestronna cela na piętrze, z normalnymi, tyle że zakratowanymi oknami, ale można było je otwierać, więc powietrze było czyste. Nie było, jak w lochach na Ofiarnej, zatruwającej atmosferę, osławionej paraszy czyli kubła. Wyprowadzano nas codziennie na

spacer, na więzienne podwórko oraz do ubikacji na każde żądanie. Na Ofiarnej dostawałam paczki, ale często były wstrzymywane - tu na Łukiszkach dostawałam regularnie. Czym było wystawanie i dostarczanie tych paczek przez moich najbliższych dowiedziałam się dopiero później, po powrocie do Wilna. To była dla nich gehenna, dla wszystkich zresztą rodzin aresztowanych. Szczególnie wtedy, gdy bez żadnego wyjaśnienia - odrzucano je - nie przyjmajem. Najbliżsi nie wiedzieli czy jestem w więzieniu, czy żyję, czy nie żyję. Też mieli swój krzyż. Paczki ~~raz~~^{raz} na tydzień, to była wielka radość, bo spis był przede wszystkim, zobaczyłam, że pisany był ręką mamy, że mama jest w domu.

W nowej celi spotkałam dwie Polki, w tym Niusię Worobiejówną z naszej Sodalicji, reszta to były Litwinki. Razem nas było 40-50 w celi. Koniec lat czterdziestych i początek pięćdziesiątych to były wielkie, masowe aresztowania Litwinów.

Można było pożyczać książki, a przede wszystkim "przestukiwać się". Alfabetu Morse'a nauczyły mnie Litwinki. Zaczęłyśmy poszukiwać przez ściany czy są Polacy i gdzie? Nie miałam szczęścia. Przestukiwałyśmy się ze wszystkimi celami w naszym pionie. Tak nawiązałam kontakt z Litwinem, który skazany siedział w celi śmierci i oczekiwał na wykonanie wyroku. Na imię miał Kazys, nazwisko zaczynało się na literę Ż - niestety nie zapamiętałam - przypuszczam, że Litwini będą wiedzieli, bo oni ^{na} pewno zbierają dane o swoich bohaterach. Rozmawialiśmy ze sobą "przez ścianę" tydzień, może dłużej nieco. Był oficerem armii litewskiej, został zrzucony jako cichociemny z Zachodu, dokąd uszedł przed wejściem na Litwę Sowieców w 1940 r. W kraju organizował partyzantkę prowadzącą regularną walkę zbrojną z sowieckim najeźdźcą. Nie pamiętam już w jakich okolicznościach został schwytany, w każdym razie skazano go na karę śmierci.

Musiałam mu opisywać jak wyglądam, on opisywał jak sam wyglą-

da. Kiedyś mi się oświadczył, była tym bardzo wzruszona, strasznie przejęta. Tak się złożyło, że wyprowadzano go z celi podczas "rozmowy" ze mną. Zdążył tylko wystukać - już po mnie idą, sudiou Galinuté, pasimatysime danguje /żegnaj Halinko, w tym życiu już się nie zobaczymy/. Po tym nastąpiła cisza. Próżno jeszcze przez kilka dni wystukiwałam co wieczór nasze hasło "K" "Ż". Kazys więcej się nie odezwał./

Przypominam sobie jeszcze jeden epizod. Byłam nieświadoma wielu spraw tego świata. W drzwiach celi było takie okienko przez które podawano jedzenie, wzywano więźniów na przesłuchania. Nad nim był szklany judasz, przez który strażnik obserwował co dzieje się w celi. Jedna ze strażniczek tylko mnie wzywała podczas swego dyżuru, abym przecierała szkiełko judasza, które pokrywało się jakby mgiełką. Robiłam to od wewnątrz i z zewnętrznej strony drzwi. Wtedy ona łapała mnie za rękę i ścisnęła. Byłam pewna, że chce w ten sposób dać mi jakąś wiadomość, jakiś znak, może od rodziców, może od znajomych, może od tych Chmielnickich, naszych sąsiadów, którzy ją znają ... Myślałam, że może wcisnie mi któregoś dnia jakiś świstek i oddawałam jej ten uścisk. Pewnego dnia wynosiłyśmy z koleżanką z celi paraszę. Ona tamtą zaprowadziła gdzieś dalej. Mnie wcisnęła do jakiegoś kąta i rzuciła się na mnie. Zaczęła mnie strasznie ścisnąć i całować. Nie wiedziałam co to jest, przestraszyłam się i zaczęłam krzyczeć okropnie. Przyleciało dwóch strażników i oderwali ją ode mnie. Wytłumaczono mi później w celi, że istnieje coś takiego jak lesbizm.

To była moja pierwsza erotyczna przygoda w życiu, pierwsze uświadomienie, że coś takiego istnieje na świecie. Później, w obozie zetknęłam się z tym nie raz.

Przed wyjazdem do obozu pozwalano na jedno widzenie z kimś z najbliższej rodziny oraz na przekazanie paczki z ubraniami i ekwipunkiem na drogę. Dostałam trochę ciepłych rzeczy, a przede wszystkim watowaną kołdrę. Ta kołdra ratowała nas w drodze do Kazachstanu/od lutego do maja/.

Na widzenie przyszła moja siostra Krysia tak zapłakana i roztrzęsiona, że z trudem namówiłam ją, żeby podniosła głowę i zobaczyła na własne oczy, że trzymam się dobrze. Zaczęłam ją też przekonywać, jakie to wielkie szczęście, że dostałam tylko 10 lat /przecież w czasie śledztwa straszono mnie, że w ogóle z katorgi nie wrócę/, że napewno wrócę i w ogóle wszystko będzie dobrze. Po latach przyznała się, że chwilami miała wątpliwości, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

Wywieziono mnie w bardzo wczesny, mroźny ranek lutego 1951 roku. Przez szparę w ciężarówce patrzyłam na oszronione miasto, na znane i po tylekroć wydeptane ulice i ścieżki. Wieziono nas do obozu etapami w bydlęcych wagonach, nie ogrzewanych, zimnych straszliwie, zamkniętych, zaryglowanych, tak że trzeba było wszystko robić na miejscu. Tylko parę razy w drodze do Moskwy dano nam kąpiatok, jedzenia nie dano wcale. To był krótki etap, trwał dwa lub trzy dni. Warunki te były tyle razy opisywane w różnych wspomnieniach, że nie warto już tego powtarzać.

Pierwszy etap - Moskwa - Łubianka /dopiero później dowiedziałam się o tym więzieniu/. Jechałam razem z Litwinkami, bardzo się zaprzyjaźniłyśmy w drodze, potem nas rozdziłili. Znalazłam się w wielkiej celi, gdzie były gołe deski i trochę słomy na tych deskach, razem z kryminalnymi. Upatrzyła mnie sobie Gała "Cyklop", wielka olbrzymka, która zapałała do mnie sympatią, ale już nie erotyczną, broń Boże. Polubiła mnie chyba dlatego, że oddawałam jej prawie cały pajok. Nie miałam apetytu. Ona zmiatało to marne jedzenie i swoje i moje. To była złodziejka, rutynowa, ^{wg} pół życia

spędziła w więzieniach i obozach. Wzięła mnie pod opiekę i wtajemniczała w obozowe życie mniej więcej tak: kiedy przyjedziesz do obozu od razu musisz znaleźć sobie opiekuna spośród kryminalnych, on cię będzie bronił przed innymi, inaczej nie przeżyjesz, a jak wyjdiesz z obozu też zginiesz. Musisz się nauczyć kraść i tu dawała mi lekcje kieszonkowych kradzieży, jak operować palcami wskazującym i średnim, żeby były giętkie i udawało się. Raczyła mnie makabrycznymi opowieściami z obozów, o tym jak ktoś jej podpadł, to swoimi jak bochny rękami pozbawiała życia takiego osobnika. Łapy miała rzeczywiście ogromne. Myślę, że nie zmyślała, bo do 1948 roku takie obozowe wyroki były bezkarne. Administracja obozowa nie wnikała w to, a szczególnie jeżeli kryminalny więzień rozprawiał się z politycznym.

Na Łubiance przetrzymano nas około 10 dni.

Drugi etap - Penza. Tam byli już tylko sami polityczni. Jednych wieziono na Wschód, innych przemieszczano z obozu do obozu. Spotkałam tam m.in. wilniankę panią Perską, członka AK, aresztowaną w 1944 roku. Schorowaną, bardzo bitą w czasie śledztwa wywieziono do obozu, gdzie przesiedziała do 1951 roku. Teraz wieziono ją do jakiegoś centralnego szpitala bliżej europejskiej części Rosji. Była to osoba prawie umierająca, prosiła więc żeby zapamiętać jej nazwisko i odnaleźć krewnych. (nie wiem czy ona przeżyła, czy nie). Niestety po powrocie do Wilna nie udało mi się już nikogo znaleźć. W Penzie trzymało nas parę tygodni, potem powieziono dalej na wschód do Kujbyszewa /dawna Samara/.

Tu znów umieszczono nas razem z kryminalnymi. Na szczęście był już podział na dwie grupy - męską i żeńską, więc nie siedzieliśmy razem z mężczyznami. Pobyt w Kujbyszewie był jednym z najstraszniejszych momentów w ^moim obozowym życiu. Z grupy kilkunastu Litwinek zostały tylko trzy - ja, Gienute Vazgienytė, trzeciej nazwiska już

nie pamiętam. Wprowadzono nas do ogromnej celi na około 100 osób, z piętrowymi łózkami. Strażnik zamknął za nami drzwi. Stałyśmy pośrodku z naszymi tobołkami podróżnymi ogłuszone niebywałym wrzaskiem. Natychmiast otoczyła nas chmara kryminalistek i w ciągu pięciu minut nie tylko odebrały nam wszystkie rzeczy, ale przy akompaniamencie dzikich wrzasków rozebrały do bielizny. One nie potrafiły nawet porozumiewać się między sobą inaczej jak tylko półdzikimi dźwiękami lub wyzwiskami, przy pomocy gestów, grymasów. Przypominały bardziej mały niż ludzi. Pokazały gdzie mamy kłaść się. Skuliłyśmy się na tych trzech pryczach i zaczęłyśmy, jak to miałyśmy w zwyczaju, modlić się najpierw po polsku potem po litewsku - głośno. Wtedy z której pryczy zeszła do nas starsza pani o powierzchowności dosyć nobliwej i łamaną półpolszczyzną półruszczyzną zapytała czy wśród nas są Polki. Odpowiedziałam, że ja. Zaczęła płakać, całować mnie. Ona siedziała już bardzo długo, około 20 lat. Była Polką z pochodzenia, ale po pierwszej wojnie już nie wróciła do ojczyzny, gdyż wyszła za mąż za Rosjanina i to oficera. Jej męża aresztowano podczas jednej z czystek stalinowskich, wkrótce ją też. Syna zabrano do Domu Dziecka/skończył potem jakąś szkołę wojskową, ale nie kontaktował się z matką, o co nie miała do niego pretensji, bo to by zupełnie przekreśliło jego karierę/. Ona po odsiedzeniu jednego wyroku/pierwszy 10 czy 15 lat/ dostawała następny i w ogóle nie miała nadziei, że wyjdzie na wolność. Tużając się po różnych obozach nauczyła się radzić sobie w tym okrutnym środowisku. Teraz stanęła na środku tej wielkiej celi i po rosyjsku posłała taki wielopiętrowy mat i kazała tym wszystkim złodziejkom natychmiast zwrócić nam wszystkie rzeczy. I one pokornie, bez słowa wszystko nam pozносиły. Okazało się, że ona cieszy się wśród tego przestępczego świata ogromnym poważaniem. Po pierwsze dlatego, że umie wróżyć z kart, po drugie znała bardzo dużo starych romansów rosyjskich, śpiewała ładnym altem, słuchano

jej bez szemrania. Miała na imię Irena, nazwiska nie pamiętam. Mogła narzucać im w niektórych wypadkach swoją wolę. Mówiła, że dzięki temu przeżyła. Nie miała nikogo z rodziny, nie dostawała do obozu paczek. Gdyby nie to, że potrafiła sobie podporządkować kryminalistki, to prawdopodobnie zginęłaby. Dzięki jej opiece przeżyliśmy jakoś ten koszmary Kujbyszew. Nie wiem co stałoby się z nami. Działy się tam okropne, potworne wręcz sceny. Było to stare więzienie, odrapane, niechlujne. Ściany były dosyć cienkie i ktoś wybił w nich dziurę do drugiej celi, gdzie siedzieli kryminaliści różnego autoramentu. Przez tę dziurę odbywało się spółkowanie - parami, nikt nie wiedział kto podchodzi, to nie było ważne. Wszystko działo się na oczach wszystkich, przy komentarzach, odpowiednich krzykach itd. Poza tym dziewczyny uprawiały, bez żadnych zahamowań na oczach pozostałych, miłość lesbijską. To było okropne. Było bardzo gorąco. Opalano cele potwornie, okna nie były otwierane - zaduch straszny. Więźniarki chodziły prawie wszystkie nago, wytatuowane niesamowicie ...

Byliśmy ~~tak~~ około dwóch tygodni. Potem był jeszcze jeden czy dwa etapy i w końcu maja trafiłyśmy do miejsca przeznaczenia, czyli obozu pracy. Umieszczono nas najpierw w oddzielnym baraczkach na parotygodniową kwarantannę. Potem przydzielono do brygad pracy. Obóz był tylko żeński, siedziało w nim około 1000 kobiet. Przeważały Ukrainki z Zachodniej Ukrainy /Wołyń, Podole/, z band UPA i grup banderowskich. Między innymi siedziała w tym obozie siostra Bandery /chyba miała na imię Stefania/, która była przywódczynią Ukrainek. Polek było siedem łącznie ze mną, po kilkanaście Litwinek, Łotyszek i Estonek.

Najpierw przydzielono mnie do brygady, która kopała w stepie rowy irygacyjne. Zaczęłyśmy pracować na początku czerwca. Chodziłyśmy do pracy pod konwojem. Jak odbywa się taka ceremonia wyprawiania z obozu do pracy też było już nieraz opisywane w wielu

książkach. Jest konwój - prowadzi nas pod karabinami, z przodu i z tyłu jadą ciężarówki z karabinami maszynowymi, otaczają nas piesi strzelcy z psami. Musimy iść piątkami w szeregu pod rękę, nie wolno z szeregu występować. Dowódca konwoju na początku odczytuje ten sam zawsze tekst: /zapamiętałam go do końca życia/ - wnimanije zakliuczonyje, szag w lewo, szag w prawo zaczytajetsia popytkoj pobiega, konwoj primienajet orużje bez preduprieżdienija, szagom marsz! /uwaga więźniowie, krok w lewo, krok w prawo uważa się za próbę ucieczki, konwój stosuje broń bez uprzedzenia, na-przód marsz!/
 Wtedy w Kazachstanie, tam jest klimat kontynentalny, panowały upały straszne, to była mordęga. Kopanie rowów w twardej, spękanej ziemi było bardzo ciężką pracą. Kobiety często mdlały. Wody przywożono bardzo niewiele - jedną beczkę na cały dzień- tak, że jej nie wystarczało do końca pracy. Wracałyśmy ledwo żywe. Ale to była praca w dzień przynajmniej. Wyprowadzano nas o ósmej rano, wracałyśmy około piątej, szóstej po południu. Tam dopiero na miejscu dostawałyśmy swój pajok czyli obiad, składający się albo z takiej mazi - kaszy z owsa, która miała przypominać kaszę i zupy kapuścianej ze zgniłej kapusty, albo z zupy z owsa i gotowanej kapusty na odmianę dzień w dzień albo tak, albo tak. Albo jedno było kaszą albo zupą i na odwrót. Do tego małeńki czerpaczek może dwa gramy oleju rzepakowego, na kolację 20 deko chleba, kawę zbożową i łyżeczkę cukru - to samo na śniadanie. W porównaniu z tym co było przed tym - w czasie wojny ludzie i tego nie dostawali - nie było najgorzej. Tylko, że ten chleb był taki buraczano-żytni, lepki, kleisty - na 20 dekagramów bardzo go niewiele było. Zaczęłyśmy tracić na wadze. Martwiła się tym moja opiekunka, którą tam poznałam, Ludwika Onoszko też spod Wilna, początkowo pracowałyśmy razem. Ludwika była studentką III roku prawa USB, kiedy została aresztowana w 1940 roku w swoim majątku pod Wilnem.

Wywieziono ją razem z matką, która po drodze zmarła, a ona trafiła na "posielenije". Aresztowano ją ponownie w 1944 czy 1945 roku. Na "posieleniju" prowadziła szkołę polską. Kiedy Związek Patriotów Polskich zorganizował zjazd nauczycieli w Moskwie skorzystała z okazji by przekazać informacje o Polakach, którzy pozostali w głębi Rosji, księdzu który tam był przy jednym kościele katolickim w Moskwie. Tego księdza wkrótce aresztowano i znaleziono przy nim pisane przez nią sprawozdanie. Dostała za to 10 lat, a gdy ją poznałam kończyła prawie swój wyrok. Trafiła na gorsze czasy, bo więzienia były wspólne męsko-damskie. Zaopiekował się nią oficer AK i z tego związku urodził się w obozie ich syn, odebrany matce po sześciu miesiącach i odesłany do Domu Dziecka. Było to dla niej niesłychanie bolesne i tragiczne przeżycie, raz lub dwa razy do roku dostawała tylko króciutką kartkę "wasz syn zdrow". Po zwolnieniu z obozu odnalazła swe dziecko, mieszkali w Krasnojarskim Kraju, dokąd była zesłana na mocy wyroku. Po 1956 roku razem z synem wróciła do Polski, mieszkają w Zabrze.

W tym obozie otoczyła mnie matczyną opieką. Zmuszała mnie do jedzenia przede wszystkim. Ze zmęczenia straciłam całkiem apetyt. Nawet tego nędznego przydziału nie mogłam jeść. Nie byłam przyzwyczajona do takiego jedzenia. Ona mnie siłą zmuszała. Potem, gdy zaczęły przychodzić paczki /a było to dużo, dużo później, gdzieś w rok czy półtora zanim dotarła pierwsza wiadomość do rodziny z moim adresem, zanim pozwolono mi przysyłać paczki/ to z tego co dostawałam gotowała mi. Była bardzo serdeczna, troskliwa, niesłychanie oddany przyjaciel. Początkowo byłam z nią w brygadzie mieszanej, tam były i Polki, Litwinki, Estonki, parę Rosjanek, kilka Żydówek. Później młodsze dziewczyny porozdzielano między brygady ukraińskie. Jako jedyna Polka trafiłam do brygady pracującej w cegielni. Praca tam była na trzy zmiany: w ciągu dnia od 8 do 16 pracowali mężczyźni /ze względu na potencjalną możliwość ucieczek/

od 16 do 12 w nocy była pierwsza zmiana żeńska, od 12 w nocy do 8 druga. Praca była bardzo ciężka - gdy wychodziło się w dzień do pracy to wracało się w nocy, wprawdzie o 12 kończyłyśmy pracę, ale zanim nas policzono, zebrano, zanim przyszedł konwój to była pierwsza w pół do pierwszej w nocy. Odległość od obozu wynosiła 7-8 km /szliśmy około 2 godzin zależnie od konwoju, który albo nas gnał, albo wolniej prowadził/ i po przyjeździe na miejsce spało się niewiele, parę godzin. O szóstej rano odbywała się pobudka, trzeba było iść na plac, gdzie nas liczono. Codziennie dwa razy dziennie odbywała się ta sama ceremonia - rano i wieczorem. Ustawiałyśmy się w pięcioosobowe szeregi i strażnicy nas liczyli. Nie wiem, czy to byli analfabeci, czy robili to naumyślnie, by nas dręczyć, nigdy prawie nie zgadzał im się ten "szczot". Raz liczą nie zgadza się, drugi, trzeci ... Wreszcie. Bez względu na pogodę czy to deszcz, mróz, spiekota stałyśmy tak godzinę, półtorej. Po śniadaniu, kto nie szedł do pracy dosypiał, robił porządki, przepierki. Kobiety wykonywały robótki z nici wyciąganych z chustek lub ubrania. Spotykałyśmy się, śpiewałyśmy, modliłyśmy się. Potem był obiad, po którym wyruszała popołudniowa zmiana do pracy. I tak dzień toczył się jeden po drugim.

W brygadzie ukraińskiej nie miałam lekkiego życia. Ukraińcy nienawidzili Polaków, jak i Rosjan. Od razu spotkałam się ze straszną wrogością, nie rozmawiały ze mną, bojkotowały mnie.

Pogłębiła się ona, gdy zaczęłam współwzięniarkom obniżać wydajność pracy, była to praca na akord, Każda para musiała w ciągu jednej zmiany rozwalić piec, wyjąć wypalone cegły, wywieźć je na taczkach i ustawić osiem tumboczek - były to stożki ułożone z cegieł, po 250 w każdym. Taka była norma minimum. Jeżeli się jej nie wykonało, cała brygada nie dostawała dodatku w postaci takiej lepieszki z prosa na kolację. Nie dawałam rady, nie mogłam swojej normy wykonać. Postanowiły mnie zgłodzić.

Prawdopodobnie

był to wcześniej przygotowany plan, w warunkach obozowych nietrudny do wykonania. Zagnały mnie do pustego pieca, który wyglądał jak duży ciemny loch i tam odczytały mi wyrok. I znów odczułam rękę Opatrzności. Nasza brygadierka Rozka, półukrainka, półrosjanka, akurat w tym czasie przebiegała korytarzem obok pieca i coś ją - jak mi później powiedziała - tknęło, żeby zajrzeć do środka. Zorientowała się natychmiast o co chodzi i wsiadła z krzykiem na Ukrainki, nie tyle może z troski o mnie, co o własną skórę, ponieważ odpowiadała za swoją brygadę przed więziennym naczalstwem. No i tak uniknęłam śmierci, a w najlepszym wypadku kalectwa./

Potem nabrałam troszkę wprawy i z wielkim trudem zaczęłam wykonywać minimum normy. W międzyczasie za niewykonanie normy posadzono mnie do karceru. Była to zimna cela skąd nie wypuszczano mnie cały dzień, wyprowadzano tylko do pracy. Jedynym pożywieniem była gorąca woda do picia nic poza tym. Można sobie wyobrazić jaki był skutek tego odosobnienia. A miało mi ono dopomóc w moim wykonywaniu normy ... Skutek był taki, że po dziesięciu dniach zupełnie osłabłam, w dodatku przeziębiam się, tak że wylądowałam w obozowym szpitaliku./

Tam był raj - łóżka z czystą białą pościelą, personel bardzo życzliwy, wszyscy więźniowie lekarze ogromnie sympatyczni, oddani chorym. Każdy modlił się, żeby tylko przedłużyć pobyt w szpitalu. Leżała tam już jako stała pacjentka moja towarzyszka niedoli Gienuité. Zdarzyła się z nią rzecz dziwna. W jakiś czas po przywiezieniu do obozu została sparaliżowana, straciła całkowicie władzę w nogach. Badali ją różni lekarze specjaliści i nie mogli znaleźć przyczyny, bo nikt jej nie podejrzewał, że symuluje. Przeleżała w łóżku ponad pięć lat. Wreszcie nadszedł szczęśliwy rok amnestii. Komisja amnestyjna przyszła do szpitala, by oznajmić, że ją odwiozą do domu jako inwalidkę. Dawano opiekę bowiem chorym

-inwalidom wtedy. Ona wtedy wstała z łóżka i od razu zaczęła chodzić. Okazało się, że był to paraliż tzw. narwiczny, ale Gienuté uważała, że to cud.

W szpitalu leżałam najpierw sama, potem mogłam chodzić, ale zbliżał się czas wypisania mnie. Wtedy pomogła mi lekarka - kierowniczką szpitala.

Jej historia warta jest opowiedzenia. Była to Żydówka, komunistka z Francji, która na apel partii komunistycznej w grupie komunistów przyjechała do ZSRR około 1938 r. tuż przed wojną. Przyjechali do Odessy, tam ich bardzo uroczyście przywitano, z orkiestrą, zaprowadzono do jakiegoś hotelu. W niedługim czasie wszystkich aresztowana jako szpiegów francuskich i zesłano do obozów. Jej sytuacja była nieco lepsza ponieważ była lekarką i w obozie przez cały czas pracowała w szpitalu.

Polubiła mnie m.in. dlatego, że mogła ze mną rozmawiać w swoim ojczystym języku. Powiedziała mi, że muszę udawać chorą, bo przy takiej pracy długo nie pociągnę. Nauczyła mnie jak mam udawać chorą na płuca sztucznie, jak mam oddychać, gdzie ma mnie kłuć, jak mam kszleć, co mam mówić, a przede wszystkim jak podbijać temperaturę.

Oprócz szpitala była przychodnia, w której ona również pracowała i póki tam była dostawałam od niej zwolnienie z pracy raz na miesiąc, na dwa miesiące - tydzień lub nawet dziesięć dni, czasami na dzień lub dwa. To było cenne, gdyż mogłam się wyspać, poleżeć, zregenerować. To była druga życzliwa osoba w obozie, która mi pomogła. Niestety potem zabrano ją do innego obozu. Na jej miejsce przyszła Rosjanka z zewnątrz - "wolna". Była to felczerka, nie znała się, ale zaczęła coś podejrzewać. Jednak jak nawet mierzyłam temperaturę przy niej, to widocznie ze zderzenia, zawsze wychodziło powyżej 37 stopni.

Potem zaczęła przysyłać do baraku pielęgniarkę, by sprawdzała mi temperaturę wieczorem. To był swój człowiek, patrzyła przez palce, albo nie zwracała uwagi, tak że mogłam natrzeć termometr do odpowiedniej temperatury. Po drugie, przy zapaleniu płuc, na które się uskarżałam, temperatura czasami spada wieczorem. Tak więc zabawa trwała nadal. Któregoś dnia wzięto mnie na zrobienie zdjęcia rentgenowskiego poza obozem, ale ciężarówka, którą jechaliśmy popsuka się i wróciliśmy. Drugi raz też coś się stało. I tak minęły trzy lata. Ciągle korzystałam ze zwolnień lekarskich. W końcu kierowniczka przychodni machnęła na mnie ręką i zdecydowała się skierować mnie do obozu dla inwalidów w Spasku.

W tym obozie, jeszcze na początku, miałam jeszcze inną przygodę. W każdym obozie był tzw. opier upełnomocznij - sędzia śledczy - oficer NKWD. Miał on teczki wszystkich więźniów u siebie i w razie czego mógł prowadzić śledzwo. Od czasu do czasu wzywał więźniów na przesłuchanie, rozmowę czy w celu uzupełnienia danych. Jeżeli ktoś za często chodził do niego, a takie rzeczy nie mogły ujść uwadze, to już mówiono o takiej osobie, że jest jego współpracownikiem, donosicielem, po rosyjsku stukacz. Nazywał się Sładkij, był podrywaczem, miał swój harem o czym nie wiedziałam wówczas. Zaczął i mnie wzywać do siebie, początkowo przez naszą "dniewalną" - sprzątaczkę baraku. Pierwszego razu zaczął wypytywać mnie, nie uzyskał wiele - puścił. Drugiego razu opowiadał o sobie, o swojej samotności, wyobcowaniu. Trzymałam się i odpowiadałam hardo. Trzecim razem wyznał mi miłość i rzucił się na mnie, odepchnęłam go tak, że przewrócił się. Odtąd upokorzony mścił się na mnie. Ale więcej mnie nie wzywał. Dzięki niemu siedziałam conajmniej 5 razy w karcerze za najbłahsze przewinienia, głupstwa. Tu muszę powiedzieć o stosunku strażniczek do więźniów w karcerze. Były to żołnierki, wychowywane później przez NKWD, ale mimo to trafiały się wśród nich dziewczyny z serdecznymi

odruchami. Często, gdy siedziałam w karczerze, podkradały się i wsuwały mi cichcem po kawałku chleba.

Tak więc załadowana wraz z grupą najmniej sprawnych na ciężarówkę przyjechałam do osławionego obozu w Spasku. Był to dawny obóz dla japońskich jeńców wojennych z 1905 roku. Ogromny łagier na kilkanaście tysięcy osób. Kobiet było chyba około 5000, mężczyzn ze dwa razy tyle. Teren obozowy był przedzielony murem na dwie części, po jednej stronie mężczyźni, po drugiej kobiety. Przez ten mur, niezbyt wysoki zresztą, przerzualiśmy przy pomocy proc listy - korespondencję. W obozie tym było już więcej Polaków, szczególnie mężczyzn - niedobitków jeszcze z AK, więźniów z 1944 r., a nawet wcześniejszych. W części kobiecej było kilkanaście Polek, w tym kilka pań z Wilna. Z Warszawy natomiast pochodziła pani Wanda Zdrodowska, żołnierz AK, tam ją aresztowano, trzymano najpierw bodaj w Rawiczu i stamtąd przewieziono do ZSRR. Jako jedna z pierwszych została zwolniona jeszcze przed amnestią, w związku z tym, że była obywatelką polską. To była bardzo miła i kulturalna pani. W ~~W~~ogóle Polki, które tam siedziały to elita, ziemianki głównie, bardzo sympatyczne i kulturalne. Było też sporo Rosjank. Polki miały nawet mi za złe, że zaprzyjaźniłam się z Rosjankami, ale to dlatego, że trafiłam do bparaku, gdzie one przeważały, a wśród nich spotkałam prawdziwe indywidualności. Nadto były to niezwykle dobre, bardzo inteligentne i ciekawe, życzliwe dla mnie osoby. M.in. siedziała tam Katerina Nabokova, siostra znanego pisarza. Porwana została przez NKWD w Bukareszcie gdzie była tłumaczką w ambasadzie amerykańskiej. Malutka, zadziorna, wytworna pani. Była Jelena Lwowna z Leningradu /nazwiska nie pamiętam/ pisarka i poetka. Aresztowana po zamachu na Kirowa, komunistka z przekonania, członek partii. Była pani Usowa, też z Leningradu, zdecydowana antykomunistka, ze starej arystokratycznej rodziny. Można sobie wyobrazić, jak ciekawe były dyskusje,

gdy zbierały się te trzy panie. Wszystkie były uprzejme, wręcz eleganckie wobec siebie, ale każda była przekonana o swojej racji. Niepomernie mnie dziwiło, że pani Jelena Iwowna, czytana i mądra kobieta, po strasznych doświadczeniach /była skazana najpierw na karę śmierci, potem zmieniono jej tę karę na 25 lat więzienia, oskarżona o wszystkie możliwe przestępstwa, które można było w tamtym systemie wymyślić - o zdradę narodu, partii, próbę obalenia ustroju itd./ mimo wszystko pozostała komunistką. Twierdziła, że to są tylko nieporozumienia, wypaczenia, nawet nie obwiniała Stalina tylko jego klikę. Stalina, jej zdaniem, wprowadzono w błąd. To było nieporozumienie albo prowokacja.

Jeszcze o czwartej muszę wspomnieć, bo odegrała dużą rolę w moim życiu, również po powrocie do Polski. To była Żydówka z Łodzi Ehrlich-Poznańska, nazywano ją tam Sala lub Ala. Była komunistką już przed I wojną, należała do Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Wyjechała z Polski we wczesnych latach dwudziestych do ~~Łodzi~~ Palestyny jako młodziutka dziewczyna razem ze swoim mężem, żeby tam w Palestynie zakładać partię komunistyczną. Była tam dosyć długo, pracowała w kibucu. W 1935 roku aresztowali ją Anglicy, potrzymali trochę w więzieniu i potem przekazali władzom radzieckim. Odtransportowano ją wraz z mężem do Moskwy, dano mieszkanie, pracę. Mąż był lekarzem, ona miała niepełne studia medyczne i pracowała jako pielęgniarka, ale po roku aresztowano oboje. Najpierw męża, którego rozstrzelali od razu, potem ją pod tym samym zarzutem szpiegostwa na rzecz wywiadu brytyjskiego itp. Czteroletniego syna zabrali do domu dziecka. Jej dali 10 lat, potem wypuszczono. Nie pozwolono jej wrócić do Moskwy, osiedliła się w Iwanowie pod Moskwą. Odnalazła przyjaciół, znajomych, którzy powiedzieli jej gdzie jest jej syn. Odebrała go i przywiozła do domu. Syn nie chciał wracać do matki - przestępczyni, wroga ludu. Cztery miesiące pobyła na wolności i znowu ją aresztowali, i znów otrzymała wyrok

10 lat obozu. Kiedy ją spotkałam miała za sobą 16 lat przesiedzia-
nianych w łagrach. Była bardzo pogodną osobą. Mimo, że opuściła
Polskę w 1922 r. i już nigdy więcej w Polsce nie była, mówiła
dobrze po polsku, miała ogromną sympatię, sentyment do Polski i
Polaków. Z tego względu zaopiekowała się mną i dzięki niej trafi-
łam do szpitala jako jej pomoc. Kierowniczką szpitala była le-
karka z Leningradu Rosjanka Antonina Wasiljewna, z którą pani
Ala żyła w przyjacielskich stosunkach.

~~Wtedy~~. Zaczęła ją upraszać, żeby mnie tam zatrudniła. Nie wiem czy
zgodziłaby się na to, gdyby nie to, że bardzo chciała poznać angielski.
Ogromnie się ucieszyła, gdy dowiedziała się, że byłam studentką
anglistyki. - Dobrze, weźmiemy ją do szpitala, tam się trochę przy-
uczy, a w zamian będzie mi dawać lekcje angielskiego. Codziennie
po pracy chodziłam z nią i w trakcie takich spacerów uczyłam ją.
Trwało to ponad rok i nie wyszłyśmy poza odmianę czasownika "być",
to były ostateczne granice jej możliwości. Z uporem powtarzała: I am,
you are, he is,... po dziesięć dwadzieścia razy, po czym na drugi
dzień zaczynało się wszystko od nowa: I am... Czasami myślałam, że
już dłużej nie wytrzymam. Praca w szpitalu dawała mi jednak zbyt dużo

satysfakcji by z niej zrezygnować. Leżały tam przeważnie Polki
-ofiary pierwszych aresztowań i wywózek z lat 40-tych i z 44 roku,
osoby starsze i w średnim wieku, bardzo wycieńczone i schorowane
ponieważ przechodziły obóz w tych najcięższych latach straszego
głodu w całym Związku Radzieckim w okresie wojny i po wojnie, i
niehumanitarnych warunkach pracy. Przepracowałam z panią Alą rok
lub troszkę więcej.

Teraz zawisła nade mną groza, ponieważ przyjechała komisja
składająca się z lekarzy więźniów i ludzi wolnych, aby werbować
personel medyczny do tworzonego w tym czasie centralnego szpi-
tala w Dolince pod Karagandą /ok. 50 km od Karagandy/. Było to
już po śmierci Stalina, w atmosferze narastającej odwilży w ZSER,

kiedy to warunki w obozach też poprawiły się. Na tej fali w Dolince, znanej skądinąd jako ośrodek badań miczurinowskich, gdzie w warunkach klimatu kontynentalnego próbowano sadzić odmiany drzew owocowych, ale to się nie powiodło, postanowiono założyć centralny szpital dla wszystkich obozów karagandińskiej obłasti. Była ona jednym z największych obozowisk w ZSRR. Stepy pokryte obozami, nie było tam normalnych osiedli, tylko przebywały koczownicze plemiona kazachskie i od czasu do czasu miasta. Na liście tej komisji od razu umieszczono panią Alę. Była zrozpaczona możliwością pozostawienia

mnie tutaj. Wiedziała, że już nie będę mogła pracować w szpitalu, że zniszczyć mnie może tutejsza woda. Po jakimś czasie ludzie tutaj zaczęli chorować, przechodzili żółtaczkę, chorowali na wątrobę i kamienie żółciowe, bo była tam fatalna woda, jakaś żelazista, żółta, smierząca strasznie, przykra w smaku. Po jakimś czasie człowiek się przyzwyczajał, ale nie było to obojętne dla organizmu. Jedyne szansa dla ciebie - mówiła - że w tej komisji jest mój kolega, towarzysz jakiś tam, będę próbowała przez niego wsadzić cię na listę. Sprawa była trudna, ale pani Ala postawiła ultimatum - albo bierzecie mnie razem z Halinką, albo rezygnuję i zostaję. Była znakomitą siłą fachową i miała znakomitą opinię - w ciągu tych siedemnastu lat zasłużyła sobie na nią jako świetny pracownik, oddany bardzo chorym, na którym można polegać - komisja uległa i chociaż było to wbrew przepisom wpisano mnie na listę i w ten sposób trafiłam do Dolinki.

Jak wspomniałam korespondowaliśmy z żoną męską. Każda dziewczyna miała tam swojego korespondencyjnego narzeczonego. Ja też miałam takiego - był to Tadeusz Pawłowski z Wilna, aresztowany w 1944 r. Nie wiedziałam jak wygląda, ale codziennie pisał do mnie czułe, serdeczne listy, poetyckie. Ja też do niego pisałam. Była to jakaś rozrywka, jednocześnie możliwość wymiany myśli.

Opowiadaliśmy sobie w tych listach różne rzeczy, snuliśmy marzenia na przyszłość. To była ważna sprawa, podtrzymywało to nas na duchu.

W 1954 r., już po śmierci Stalina, nastąpił znany w historii gułagu bunt więźniów. Jego ognisko i główna organizacja była chyba w Workucie. Później dowiedziałam się, że myśl o zorganizowaniu buntu powstała w jednym z obozów męskich, gdzie spotkał się żołnierze i oficerowie AK z oficerami radzieckimi, którzy pod różnymi zarzutami, czy to niedopełnienia obowiązków w czasie wojny, czy współpracy z Niemcami wręcz, pod fałszywymi nieraz oskarżeniami dostali wysokie wyroki i siedzieli w obozach.

Celem buntu było wymuszenie na władzach traktowania więźniów politycznych zgodnie z konwencją międzynarodową - czyli przyznanie im prawa do korzystania z bibliotek, prasy, swobodnej korespondencji z rodziną, a ponadto kontaktowania się z kobietami. Ten ostatni był jednym z najważniejszych punktów żądań, które zostały przesłane do Moskwy. Punkt ten dlatego był tak ważny, że wyroki w ZSRR były bardzo wysokie, często przedłużane. Więźniowie żądali przywrócenia stanu sprzed 1949 roku - wspólnych obozów damsko-męskich, żeby można było tworzyć coś na kształt rodzin. Zdaje się, że władze nie odpowiedziały na tę petycję i wtedy postanowiono zrobić bunt. Organizacja była świetna - jednocześnie na całym

terenie ZSRR wybuchły bunt. W niektórych obozach miały one dramatyczny przebieg, jak w Kingirze, gdzie mężczyźni odebrali broń strażnikom, zabarykadowali się i zażądali przyjazdu komisji. Skończyło się to tragicznie - nie przyjechała komisja tylko czołgi, które staranowały obóz i zmiażdżyły więźniów tak, że niewielu z nich uratowało się. W Spasku bunt miał charakter nieco farsowy. Tu panowie również obezwładnili strażników i przeskoczyli przez mur i w ten sposób dostali się do żeńskiej części obozu. Dzięki korespondencji kobiety wiedziały o tym wcześniej, ale w obozie męskim byli też i kryminalni, więc niektóre panie którym bardzo zależało na uchronieniu dzieciwictwa wpadły w popłoch. Tarasowały się w barakach, komendant obozu przez megafon kierował do kobiet dramatyczne apele, żeby nie wpuszczaly mężczyzn. Szczyt paniki zapanował w naszym szpitaliku, w którym leżały same staruszki, a personel składał się z pani Ali, która dochodziła do 60-tki, mnie młodej i około 30-paroletniej Antoniny Wasiljewny. Ta ostatnia była korpulentną osobą i żeby uchronić się przed mężczyznami postanowiła wejść pod pryczę, a nie bardzo mogła ze względu na swą tuszę, więc pchałyśmy ją z panią Alą na siłę. "Boże spasi, Boże spasi, cztoby oni czego to so mnoj nie sdiękali". Zamknęłyśmy się w tym szpitaliku, siedzimy, czekamy, ale żaden z mężczyzn nawet nie zapukał. W innych barakach też nic zdroznego się nie działo, chodziło tylko o to by zmanifestować swój protest. Pertraktacje trwały kilka godzin, przyjechało wojsko, baraki otworzono siłą, mężczyzn wyprowadzono i wywieziono gdzieś do innego obozu. Mój "narzeczony" nie przyłączył się do tej eskapady. Dopiero gdy spotkałam się z nim, po uwolnieniu już w Wilnie, zrozumiałam dlaczego - był to kaleka, malutki, nie miał fizycznych możliwości by pokonać mur. Tym, którzy wzięli udział w buncie wymierzono dodatkowe wyroki, ale później objęła ich amnestia tak że i oni zostali zwolnieni. O organizacji buntu w Kingirze opowiadał mi jeden z tych zwol-

nionych: mieli oni swoich łączników, przekupionych dostawców, kierowców ciężarówek, tych którzy byli na wolności. Dzięki nim prawie wszystkie obozy zostały zawiadomione o dniu wybuchu buntu - powstania obozowego /jak go nazywaliśmy/. Odbył się on prawie w tym samym czasie we wszystkich obozach, w Workucie, na Kołymie - różnice były kilkudniowe. Wystąpienie to nie przyniosło skutku natychmiastowego, lecz po jakimś czasie część postulatów więźniów wprowadzono w życie. Np. pozwolono na korzystanie z radia - były to wprawdzie te kukuruźniki tylko, ale przynajmniej można było słuchać muzyki, co też było ważne, jakieś tam informacje były nadawane. Można było dowiedzieć się czegoś np. o Polsce. Zaczęliśmy dostawać prasę, można było przysyłać książki. Oczywiście zaraz napisałam do domu i przysłano mi książki, oczywiście Mickiewicza ale i angielskie książki też, podręczniki. To była duża ulga.

Jeśli o mnie chodzi to już działało się to wszystko w ostatnim moim obozie w Dolince. Warunki tam były dużo lepsze niż w pozostałych obozach, porządniejsze baraki, względnie czyste, bez robactwa, piętrowe prycze trochę luźniejsze. Od razu zostałam zatrudniona w szpitalu jako młodsza pielęgniarka. Kierownikiem szpitala był Gruzin Asłan Zade, podobno chirurg sławny na cały ZSRR, bardzo dobry organizator. Należał on do jakiejś organizacji antyradzieckiej i za to dostał 25 lat/poprzednio karę śmierci/. Zarządził, że musi być zorganizowany jednoroczny kurs dla pielęgniarek, bo personelu wykwalifikowanego jest za mało i ja trafiłam na taki kurs. Mieliśmy dobrych wykładowców-fachowców - wszyscy byli więźniami, jeden tylko wojskowy był spoza obozu. Po ukończeniu kursu złożyliśmy egzaminy i dostaliśmy zaświadczenia. Zostałam wykwalifikowaną pielęgniarką. Cały czas pracowałam jednocześnie w szpitalu, najpierw na oddziale chirurgicznym, potem ginekologicznym, a na końcu gruźliczym. Kierowniczką od-

działu gruźliczego była Węgierka z Besarabii. Młoda dziewczyna, bardzo ładna. Miała ogromne powodzenie wśród panów, ale niezmiernie się wyniośle nosiła, nieprzystępna jeśli o te sprawy chodzi. Nieprzekupna, bardzo wymagająca i oddana swojej pracy. Atmosfera na naszym oddziale była bardzo dobra, zespół był zgrany bardzo. A mieliśmy bardzo ciężkie przypadki zaważanej gruźlicy, dużo było wypadków śmiertelnych.

Na oddziale tym leżało dużo kryminalistek z wielkimi wyrokami /np. 3 razy po 25 lat, 5 razy po 25 lat/ - recydywistek. One, żeby nie być w obozie pracy i resztę życia spędzić w szpitalu, wywoływały sztucznie zapalenie płuc wdychając specjalną mieszaninę proszku /puder i coś tam jeszcze /. To im niszczyło płuca, tworzyły się w nich procesy gnilne, nie do uratowania w tych warunkach. Skracały sobie życie i robiły to oczywiście świadomie, ale miały za to względnie przyzwoite warunki, lepsze jedzenie, dostęp do leków. Wszystkie narkotyzowały się. Narkotyki robiły same, mimo naszej czujności nie udało się nigdy żadnej przyłapać. Nie poznałam więc tajemnicy tej mieszanki. Miały one stałe kontakty z zewnętrznym światem przestępczym, prawdopodobnie stamtąd dostarczano im odpowiednie składniki. Jeśli im czegoś brakowało, próbowały wymuszać na lekarzach i pielęgniarkach odpowiednie specyfiki np. kofeinę. Jedna z dziewczyn podczas mojego dyżuru zażądała jej ode mnie. Odmówiłam, mówiąc że nie mam prawa dawać kofeiny, wtedy ona wyciągnęła nóż i na mnie. Zachowałam absolutny spokój i to mnie prawdopodobnie uratowało. Zresztą takich przejść miałam więcej. Przywódczynią ich wszystkich była Wala "Diplomat". Należała ona do gangu najwyższej kategorii, który mordował. Oni mieli swoje prawa, porządki, tajemnice a także sympatie wśród personelu. Myślę, że lubiły mnie, bo traktowałam je normalnie, tak jak wszystkich innych pacjentów, nie wynosiłam się, starałam się jakoś je zrozumieć. Wszystkie lubiły fantazjować niesamowicie.

Np. "Wala Dyplomata" była córką jakiegoś wysokiego ministra, każda z nich miała w rodzinie prokuratora, albo ojca, albo brata ... Nie chwając się pracowałam ofiarnie. Jeżeli któraś była ciężko chora nie żałowałam fatygi bez względu czy był to mój dyżur czy nie siedziałam przy niej całą noc. W takich chwilach, szczególnie przy śmierci, bardzo ważna jest obecność kogoś, kto choć trzyma za rękę. Modliłam się głośno przy umierających - to wszystko wywierało na nich wrażenie. Najstraszniejsza śmierć, jaką przeżyłam, a zgonów było dużo, to było umieranie żołnierki po 40-tce, która na froncie straciła ręce i nogi, został sam korpusik. Trzeba ją było karmić i opiekować się nią szczególnie. Zionęła nienawiścią do wszystkich i do wszystkiego. Gdy przychodziło się ją karmić zaczynała od opluwania a potem obrzucała stekiem najgorszych przekleństw. Nie chciała się leczyć, nie chciała przedłużać tego życia, chciała umrzeć. Nie dziwiłam się temu. Umierała z pełną świadomością i nienawiścią do całego świata. Przeklinała ludzi, ludzkość, swój los, swój kraj, rodziców - absolutnie wszystko.

W obozie uprawiano nagminnie miłość lesbijską. Kryminalistki werbowały młode dziewczyny do tego procederu. Przyszła kiedyś na mój oddział dziewczyna i mówi: chciałabym dowiedzieć się jak się czuje moja "żona". Potem prosiła bym zostawiła je same, bo muszą się pokochać. Miałam dużą rozterkę, zwłaszcza moralną, ale w końcu wyszłam. To też była jakaś namiastka miłości. Rozmawiałam później wiele razy z tym "mężem" Sonią, która była bardzo inteligentną dziewczyną. Miała wyrok 3 razy 25 lat. Wiedziała, że w tym czy innym obozie zginie, że nigdy nie wyjdzie na wolność.

W Dolince znalazła się też Zosia Korolkowa ze Stanisławowa. Pierwszy raz spotkałam ją w Spasku, potem ja wyjechałam do Dolinki ona została. Teraz przywieziono ją do Dolinki do

pracy z grupą więźniów, bo i tam jak w każdym obozie była brygada pracy, która zajmowała się szpitalnym gospodarstwem rolnym, w skład którego wchodziło pole i ogród. Wtedy jeszcze była to bardzo piękna dziewczyna. Pochodziła z rodziny nauczycielskiej i sama była nauczycielką w szkole podstawowej w Stanisławowie, miała narzeczonego oficera Polaka. Nie zdążyła wyjść za niego za mąż, bo wybuchła wojna i on zginął w kampanii wrześniowej. W czasie okupacji była łączniczką AK, po wojnie kiedy Stanisławów zajęły wojska sowieckie była możliwość wyjazdu do Polski, ale ze względu na matkę została. Do ich domu dokwaterowano oficera NKWD, który bez pamięci zakochał się w Zosi i proponował jej małżeństwo. Ona długi czas odmawiała, w końcu zgodziła się, gdy zagroził jej, że zastrzeli ją, siebie i matkę. Był porządnym i dobrym człowiekiem, inżynierem z wykształcenia, obiecał wystąpić z NKWD i pracować w jakimś przedsiębiorstwie. Wyszła za niego, to był bodaj 1948 rok. W 1949 roku aresztowano ją, któryś z akowców wydał ją w czasie śledztwa. Miała bardzo ciężkie śledztwo, bito i męczono ją. Leo, jej mąż, szalał, robił wszystko, żeby żonę zwolniono, ale bezskutecznie. Wtedy w akcie bezradnej rozpaczyny porwał na oczach zebranego komitetu swoją legitymację partyjną. Znalazł się w areszcie. Wypuszczono go po trzech miesiącach i kazano opuścić Stanisławów. Wtedy zaczął jeździć w ślad za żoną od miejsca do miejsca, gdzie tylko ona była. Gdy była w Spasku on pracował w pobliskiej kopalni, kiedy przewieziono ją do Dolinki - przyjechał do Karagandy i tam znalazł jakąś pracę fizyczną. Wtedy już wprowadzono ulgi i wolno było odwiedzać rodziny w obozie, więc mąż Zosi co tydzień przyjeżdżał i widywał się z nią. Dawano im na jeden dzień oddzielny barczek widzeń/poza żoną/. Wtedy też i ja go poznałam - mały, nieciekawym z wyglądu człowiekiem, ale poczciwość mu z oczu patrzyła. Po jednej z takich nocy ona zaszła w ciążę, o czym nie wiedziała, tylko po paru miesiącach zaczęła chorować. Żadnych objawów ciąży nie było,

Lekarze sądzili, że symuluje, nadal musiała ciężko pracować w polu. Doszło do tego, że podczas pracy zemdląca, straciła przytomność i umierającą przywieziono do szpitala. Pierwsza diagnoza - ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Otworzyli jamę brzuszną i okazało się, że ciąża pozamaciczna. Gdyby nie ten wspaniały chirurg Asłan Zade to by umarła, on ją uratował. Powiedział później, że to niemal cud. Asystował mu drugi wspaniały chirurg z Leningradu - Kurczenko. Operacja trwała pięć godzin i była bardzo ciężka. Gdy się o tym dowiedziałam poprosiłam o zwolnienie z oddziału gruźliczego i kilka nocy przy niej przesiedziałam. Walczyła kilka dni i nocy ze śmiercią. Gdy odzyskała przytomność, lekarz Kurczenko, który podejrzewał, że symuluje, przyszedł i przeprosił ją ze łzami. Biedny Leo przyjechał jak zwykle na widzenie i strasznie się załamał, gdy powiedziałam mu przez druty, że żona w szpitalu. Błagał by jej nie opuszczać... Ona jakoś z tego wyszła, wyzdrowiała. Po amnestii zwolniono ją, przez parę miesięcy mieszkali w Karagandzie, bo nie mogli dostać pozwolenia na powrót do Stanisławowa, ale w końcu pozwolono im. Mieli duże trudności z uzyskaniem tam pracy i mieszkania, ale powoli jakoś to się wszystko ułożyło. Do dziś tam mieszkają. mają jednopokojowe mieszkanie. Dziś oboje starzy, schorowani. Raz ją odwiedziłam w 1979 r. Ona gdy mogła co roku przyjeżdżała do Polski. Strasznie cierpi na nostalgię za krajem. To jest autentyczne cierpienie. Gdy przyjeżdżała, to płakała strasznie, ziemię całowała. Modli się często za cały kraj, przeżywa wszystko co tu się dzieje i strasznie żałuje, że tam została. Pisujemy do siebie, prenumeruję jej pisma.

W tym szpitalu wytrwałam do końca, to znaczy do amnestii w 1956 roku. Kilka miesięcy wcześniej, mimo moich protestów, mianowano mnie kierowniczą przychodni szpitalnej z wszelkimi uprawnieniami lekarza. Była to sytuacja wręcz tragiczno-komiczna, ale jakoś udało mi się nikogo nie wyprawić na tamten świat.

Skończyłam kurs ginekologiczny, gorzej było z innymi chorobami. Różne zdarzały się przypadki, ale nikomu nie zaszkodziłam. Do pomocy miałam dwie pielęgniarki.

Już wiedzieliśmy w obozie, że jest amnestia, bo nam oznajmiono, cieszyliśmy się bardzo. Kiedy przyjechała /w czerwcu 1956 r./ komisja amnestyjna każdego wzywano indywidualnie, poświęcano 10 minut. Mieli ze sobą nasze akta sprawy i oznajmiali, że z dniem dzisiejszym dochodzenie jest przerwane, sprawa jest zakończona, dalszy wymiar kary jest zawieszony. Takie były formuły. To nie była rehabilitacja. Natomiast panią Alę zrehabilitowano oficjalnie jako członka partii /wyszła dwa lata wcześniej/. Miejsce powrotu można było wybrać dowolne, gdzie kto chce, tylko nie do miejsca poprzedniego zamieszkania. Teraz musimy czekać tylko na zorganizowanie transportu. Proponowano mi zostanie w Dolince, obiecano świetne warunki, studia medyczne, ale odmówiłam od razu.

Na wieść o amnestii dla więźniów politycznych wściekłość ogarnęła kryminalnych. Postanowili, jeśli nie unieść nas, to zemścić się na nas choćby przez danię nam łania. Mieszkaliśmy - polityczni w oddzielnym baraczkach i musieliśmy się barakadować, ustanowiliśmy całodobowe dyżury i w końcu do pobicia nie doszło. Wypuszczano nas partiami, po 10-15 osób. Grupy takie przechodziły przez szpaler kryminalnych, którzy opluwali i przeklinali ich.

Wśród zwalnianych więźniów sporo było inwalidów, którzy sami nie mogli jechać i organizowano dla nich pomoc, jakąś pielęgniarkę lub pielęgniarza. Zgodziłam się na przewiezienie chorego Ukraińca do rodziny wysiedlonej z Ukrainy w latach 30-tych aż do Kok-Jangaku nad granicą chińsko-radziecką. To mnie zafrapowało, zawsze marzyłam o

podróżach i mimo ogromnej tęsknoty do domu i rodziny postanowiłam skorzystać z okazji, żeby zwiedzić trochę Azję. Była to bardzo ciekawa podróż i bardzo pouczająca. Nie żałuję tego, mimo, że rodzice mieli do mnie żal wielki. Bo to trwało ponad miesiąc. Droga wiodła przez Taszkient, Duszanbe nad jeziorem Bałchasz, jechaliśmy przez 4 republiki przez tereny pustynno-stepowe prawie niezaludnione i trwała z przesiadkami około trzech tygodni. Każdy pasażer dostawał do dyspozycji leżankę z pościelą oraz kpiatki od konduktorki. Ponieważ podróż ciągnęła się tygodniami, szybko nawiązywały się znajomości, a nawet przyjaźnie. M.in. miałam ofertę matrymonialną Czeczeńca, który twierdził, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia, że mi zapewni dobrobyt wielki, bo on ma dwie kozy, lepiankę własną, niczego mi nie zabraknie, mama jego będzie się mną opiekowała. Pełny komfort i pełny dobrobyt ... Gdy pasażerowie a byli to przeważnie Uzbegy, Czeczeńcy, Kirgizi i inni mieszkańcy tych ziem, dowiedzieli się, że ja i mój niewidomy towarzysz jesteśmy tylko co zwolnionymi więźniami politycznymi, zaczęli okazywać nam szczególną życzliwość i sympatię. Przynosili nam różne smakołyki, ale także niestety i wódkę, którą mój podopieczny pił z upodobaniem tak, że czasem miałam z nim kłopoty. Często kładł się spać pijany zupełnie. Jakże oni nienawidzili Rosjan, szczególnie Gruzini. Mężczyźni o azjatyckich, skośnych oczach wodzili palcem po szyi i z lubością powtarzali, jak robią "ryziu, ryziu" Rosjanom, kiedy wreszcie nadejdzie ich czas. W Taszkencie był dłuższy postój z nieodzownym nocowaniem na dworcu. Stamtąd przez tańdżycki Leninbad i Ferganę dojechaliśmy wreszcie do Kok-Jangaku, niewielkiej osady kirgiskiej niedaleko granicy chińsko-radzieckiej.

Rodzina ukraińska przywitała mnie niezmiernie serdecznie, oddano mi do dyspozycji jeden z dwóch pokoików ubogiej chatynki. Pracowali oni w kołchozie jako rolnicy, przesiedleni zostali

w latach trzydziestych, bo nie chcieli poddać się kolektywizacji. Mieli swoją małą cerkiewką, gdzie mogli zbierać się i modlić Ukraińcy. Z miejscową ludnością, koczowniczą, wśród których przeważały typy półmongolskie, negroidalne /kobiety nosiły ozdoby w nosach/ mieli bardzo dobre stosunki. Koczownicy ci wypasali wielbłądy, owce, jeździli na osłach. Kilka dni tam pozostałam, zapraszana i goszczona jak siostra czym mogli się ze mną podzielić.

Wróciłam z powrotem do swego obozu sama. Dostałam bilet, kartę zaopatrzenia, pajok, jakieś pieniądze na podróż. Wraciałam z grupą litewską pozbieraną z różnych obozów do partii liczącej 30 osób. To był limit dzienny na podróż do Karagandy. Stamtąd jechaliśmy już pociągami do Wilna. Podróż trwała ponad tydzień. Do Wilna przyjechaliśmy o piątej rano, na pożegnanie zrobiliśmy sobie wspólnie zdjęcie pod górą zamkową. Miałam straszne zmartwienie, jak ja się pokażę rodzinie, bo była strasznie gruba - ważyłam 89 kilogramów, wstydziłam się strasznie. To były zaburzenia hormonalne, a po drugie w szpitalu mogłam nareszcie jeść ile chciałam, a nie pracowałam ciężko fizycznie. W każdym razie szok był dla rodziny niemały. Spodziewali się, że zobaczą szkielet, a tu włożyła się kolubryna! Ale co to znaczyło w porównaniu z radością powitania.

Już z obozu pisałam i błagałam rodziców by starali się o repatriację /wiedziałam o umowie o drugiej repatriacji - podpisanej przez Gomułkę i Chruszczowa/, żeby się koniecznie zapisywali, że w Wilnie nie ma co pozostawać. Przeważało to, że ja potwornie bałam się ponownego aresztowania i rodzice ulegli. Rozpoczęłam natychmiast starania o wyjazd do Polski. I od razu zaczęły się kłopoty. Moje dokumenty zawieruszyły się gdzieś w NKWD. Tylko sprawkę dostałam, ale na jej podstawie nie wydawano dokumentów repatriacyjnych, a tu zbliżał się termin wyjazdu

mojej rodziny. Dosłownie ubłagałam ojca i siostrę by nie czekali na mnie i wyjechali oni jako pierwsi do Polski, do Poznania do siostry mojej mamy. Mama nie chciała wyjechać beze mnie. Po wielu staraniach wydano mi nowy dowód osobisty, który pozornie nie różnił się od innych, ale jakaś adnotacja musiała być. Musiałam iść do pracy, ale po okazaniu tego dowodu pracy dla mnie nie było. Sytuacja zaczynała być rozpaczliwa. Z pomocą /mimo, że nikogo nie prosiłam/ przyszedli nam dwaj księża- jeden to ksiądz Ellert, który przeznaczył dla nas miesięcznie skromną sumę i drugi to ksiądz Marzenger - jezuita, proboszcz w Krasnem, któremu ktoś powiedział o naszej sytuacji. Potem jak dostałam się na Uniwersytet zaczęłam dostawać stypendium, jakieś korepetycje się pojawiły i dawałyśmy sobie radę.

Na Uniwersytecie przyjęto mnie entuzjastycznie. Dziekanem był ten sam prof. Frołow, który powiedział: m no, oczywiście Gala, bez żadnych problemów przyjmujemy cię na II rok/Zaczęłam studiować, bo sprawa mojego wyjazdu zaczęła się komplikować, a nie chciałam tracić roku/. Wszyscy profesorowie odnosili się do mnie z nadzwyczajną życzliwością. Na Uniwersytecie obowiązkowym był język litewski, dużo przyszło wykładowców Litwinów, część kadry rosyjskiej musiała wyjechać. Studenci w mojej grupie byli dużo młodsi ode mnie, nikogo nie znałam. Było mi trochę głupio i wstyd kiedy siadłam bez słowa za studencką ławą. Ale już na pierwszym wykładzie pani profesor specjalistka od lingwistyki porównawczej/Nazwiska nie pamiętam/rozpoczęła od takich mniej więcej słów: Drodzy studenci, witamy wśród nas naszą starszą koleżankę, która właśnie powróciła z łagrów. Pamiętamy ją dobrze z lat kiedy rozpoczynała studia na tym uniwersytecie. Cieszymy się, że jest wśród nas, chcemy jej wyrazić naszą głęboką przyjaźń jak dla koleżanki i Polki. Cała grupa wstała i zaczęła klaskać. Byłam wzruszona i zawstydzona. Ale najbardziej ucieszył mnie jakiś powiew

wielkiej życzliwości dla Polski i Polaków. Właśnie rozpoczął się u nas Październik 56 i na ścianach wileńskiej uczelni można było zobaczyć napisy: Tegyvuoja Gomulka. Tegyvuoja draugyste su Lenikja / Niech żyje Gomułka. Niech żyje przyjaźń z Polską/. Tę przyjaźń okazywano na każdym kroku. Moi młodszy towarzysze studiów przynosili podręczniki i pomagali w uzupełnieniu zmienionego już od tego czasu programu. Wykładowcy ciągle robili jakieś miłe aluzje pod adresem tak moim, jak i mego kraju. Pewno pomogliby mi gdybym się przyznała do kłopotów materialnych, ale nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, żeby to uczynić. Zresztą nie prosiłam nikogo. Księża o których wspomniałam przyszli z bardzo zresztą potrzebną pomocą sami, dowiedziawszy się przypadkowo od kogoś tam, że zaistniała taka sytuacja. Tak dokończyłam drugi rok na wileńskim Uniwersytecie i rozpoczęłam trzeci, a pozwolenia na wyjazd do Polski wciąż nie było. Wreszcie mój ojciec, który mieszkał już w Polsce w Poznańskim, zdenerwował się i przyjechał do Wilna, żeby osobiście sprawy dopilnować. W krótkim czasie wszystko zostało załatwione pomyślnie, ale tatuś przypłacił chodzenie po urzędach zawałem serca. Zmarł w kilka tygodni po przyjeździe i został pochowany w Wilnie w rodzinnym grobie na cmentarzu bernardyńskim.

Wyjechałyśmy z mamą do Warszawy w marcu 1958 roku. Siostra Kryśka w tym czasie skończyła już medycynę i mieszkała u dr Suchodolskiej, też Wilnianki, która nas czasowo przyjęła do swego domku na Sadybie. Początki były trudne. Nie chciano dać nam mieszkania w Warszawie. Jakaś urzędniczka w Radzie Narodowej, kiedy przeczytała moje podanie i życiorys, cała zapieniona zaczęła krzyczeć, że po jej trupie, że ona nigdy nie dopuści do tego, żeby tacy ludzie zamieszkiwali w stoli-

cy PRL. Warszawa jest dla repatriantów miastem zamkniętym, żeby wyjeżdżać na Ziemię Zachodnie. Siostra pracowała w Tworkach jako psychiatra, ja zostałam przyjęta na anglistykę i mieszkałam w akademiku na Kickiego. Później mama z Krysią wynajęły kuchnię w Pruszkowie. Ja słałam podanie za podaniem już pocztą, by nie narażać się na takie sceny. Podałam adres koleżanki i niedługo przyszło wezwanie z Rady Narodowej. Tej urzędniczki już nie było a jej następcą okazał się ludzkim człowiekiem. Oznajmił mi, że przydzielili mi mieszkanie opuszczone przez jakiś wyjeżdżających. Niestety piękne 60 metrowe mieszkanie na Rakowieckiej, które już oglądałyśmy przyznano komuś innemu. Ale niedługo potem załatwił nam kawalerkę na Pradze II. Krysią starała się o mieszkanie ze szpitala. Tak się skończył etap walki o pozostanie w Warszawie.

Przyjęcie na Uniwersytet Warszawski natomiast było bardzo miłe. Sam rektor Turski wezwał mnie do siebie i pewnie po przeczytaniu mojego życiorysu, oświadczył, że jako repatriantka będę przyjęta warunkowo na każdy kierunek studiów, a egzaminy będę mogła zdawać stopniowo w ciągu roku. Postanowiła jednak pozostać przy anglistyce. Wydawało mi się wówczas, że jestem za stara na rozpoczynanie studiów od nowa. Teraz żałuję tego, po-
winnam była pójść na historię, która zawsze mnie pasjonowała, albo na filologię polską.

W Warszawie odnalazła nas pani Ala. Jakże ucieszyłam się, kiedy ją znów zobaczyłam. Ja jeszcze tułałam się po ludziach, ona już dostała piękne mieszkanie na Wilczej, gdzie mieszkała wraz z synem Dimą. Oczywiście jako zrehabilitowana "towarzyszka partyjna" była na innych prawach. Cały czas mi perswadowała, że tak nie powinno być i że ja muszę domagać się takich samych praw, powoływać się na nią. Nie ustępować, jeżeli mi odmówią, tylko składać podanie jedno po drugim aż do skutku. Tak też

czyniłam i w końcu pomogło.

Z panią Alą było tak. Po opuszczeniu obozu otrzymała zaraz mieszkanie w Moskwie i odszkodowanie, po czym pojechała szukać syna. Początkowo syn nie chciał jej znać nafaszerowany różnymi bredniami o jej antysowieckiej, wrogiej działalności. Z trudem udało się go wreszcie namówić na rozmowę. Początkowo stał naburmuszony i zły, potem w miarę opowiadania historii jej tragicznego losu coraz bardziej tajał, aż wszystko skończyło się łzami, przeprosinami i pojednaniem. Wrócił z matką do Moskwy. A ona już tylko myślała o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w Polsce. Podobnie, jak mnie, z "umiłowanej ojczyzny wszystkich ludów" wyganiał ją paniczny strach przed powtórny aresztowaniem. Po bolesnych doświadczeniach nie wierzyła za bardzo w żadne "odwilże" i trwałe zmiany. Ale z Dimą były kłopoty. Nie znał polskiego, czuł się Rosjaninem, trudno go było przekonać. Ale i to jakoś pokonała. W Polsce Dima szybko się zadomowił. Miał naturę brata łąty i łatwo zawierał przyjaźnie. W ZSRR był marynarzem, skończył szkołę marynarską. Tutaj za namową matki zapisał się na kursy języka polskiego, przy mojej pomocy zdał maturę, skończył wieczorową szkołę inżynierską. Pracował jako inżynier, później został kierownikiem w jakimś przedsiębiorstwie. Ożenił się z Żydówką, mieli dwoje dzieci. Przyszedł Marzec 1968 r. Zwolniono go z kierowniczego stanowiska. Zdał sobie po raz pierwszy sprawę, że jest Żydem i to w dodatku niechcianym w tym kraju, usłyszał to bez ogródek. Powiedział mi wtedy, że nigdy nie zastanawiał się przedtem nad swoją narodowością, był Rosjaninem. Potem Polska była jego drugą ojczyzną bardzo bliską, moją ojczyzną. Dom mam polski, w domu wszystko jest po polsku. Nigdy jednakże, tak mi uświadomiono, jako Żyd nie będę się tu czuł jak u siebie w domu. Ciągle ktoś będzie miał prawo mi powiedzieć - ty jesteś Żyd, nie masz prawa tego robić, ani tamtego, to samo będą mówić moim

dzieciom. Wobec czego ja tu nie chcę zostać. Oni mieli jakichś krewnych w Brukseli i tam do nich pojechali. Dla pani Ali była to następna tragedia i cios podwójny. Musi wyjeżdżać z kraju, który kocha. I po drugie - jak to, jej partia, postępuje w ten sposób. Nie mogła tego zrozumieć. Długo wahała się, zostać czy jechać z synem i wnukami. W końcu jednak to Polskę uznała za prawdziwą ojczyznę i przystań po latach tułactwa. Kochała ją szczerze. Stanęła przed dylematem, z czegoś musiała zrezygnować. Miłość do rodziny była mimo wszystko silniejsza. Płakała bezradnie, jak tylko może płakać kobieta w jej wieku, która wie, że już tu nie wróci. Taką ją zapamiętałam, kiedy odprowadzałam ją na dworzec. Dziś już nie żyje, zmarła w Brukseli.